

*Wielkie
dzieła
filozoficzne*

FRIEDRICH
NIETZSCHE
ANTYCHRYST

Antychryst

Friedrich Nietzsche

Antychryst

Próba krytyki chrześcijaństwa

Przełożył
Leopold Staff

Posłowie napisał
Tomasz Sieczkowski

Wydawnictwo Zielona Sowa
Kraków 2003

Tytuł oryginalny:
Der Antichrist. Versuch einer Kritik des Christentums

Projekt serii:
Sewer Salamon

Projekt okładki:
Sewer Salamon

Skład i łamanie:
Przenyśław Dzierzbicki

Redakcja:
Robert Mitoraj

© Copyright by the Estate of Leopold Staff
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o., Kraków 201

ISBN 83-7389-211-7

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
30-415 Kraków, ul. Wadowicka 8 A
tel./fax (012) 266-62-94, tel. (012) 266-62-92,
(012) 266-67-98, (012) 266-67-56
www.zielonasowa.pl
wydawnictwo@zielonasowa.pl

Przedmowa

Książka ta przeznaczona jest dla najmniej licznych. Może z nich nawet nikt jeszcze nie żyje. Mogliby to być ci, którzy rozumieją mego *Zaratustrę*: jakże bym śmiało brać siebie za jednego z tych, dla których już dziś rosną uszy? – Dopiero pojutrze jest moje. Niektórzy rodzą się jako pośmiertni.

Warunki, w których mnie się rozumie i wtedy siłą konieczności rozumie – znam je zbyt dobrze. Trzeba być rzetelnym w rzeczach duchowych aż do twardości, by choć tylko znieść moją powagę, moją namiętność. Trzeba obytym być z życiem na górach – mieć godną politowania gadaninę o codziennej polityce i samolubstwie ludów pod sobą. Trzeba zobojętnieć, trzeba nie pytać, czy prawda jest pożyteczna, czy się dla kogoś fatalnością staje... Upodobanie siły w pytaniach, do których nikt dzisiaj nie ma odwagi; odwaga do tego, co zakazuje; skazanie z góry na labirynt. Doświadczenie wyniesione z siedmiu samotności. Nowe uszy dla nowej muzyki. Nowe oczy dla tego, co najdalsze. Nowe sumienie dla prawd, które dotąd były nieme. I woła ekonomii wielkiego stylu: zachowywać swą siłę, swój zapas w skupieniu... Cześć dla siebie; miłość dla siebie; bezwzględna wolność względem siebie...

Dobrze więc! To są jedynie moi czytelnicy, moi prawdziwi czytelnicy, przeznaczeni mi z góry czytelnicy: cóż zależy na reszcie? – Reszta to tylko ludzkość. – Trzeba być wyższym nad ludzkość siłą, wyższą ducha – pogardą...

Friedrich Nietzsche

1.

– Spójrzmy sobie w twarz. Jesteśmy Hiperborejami¹ – wiemy dość dobrze, jak na uboczu żyjemy. „Ani lądem, ani wodą nie znajdziesz drogi do Hiperborejów”: to wiedział o nas już Pindar. Poza Północą, lodem, śmiercią – n a s z e życie, n a s z e szczęście... Odkryliśmy szczęście, znamy drogę, znaleźliśmy wyjście z całych tysiącleci labiryntu. Kto i n n y je znalazł? Czyżby człowiek nowoczesny? – „Nie umiem wyjść ni wejść; jestem wszystkim, co wyjść ni wejść nie umie” – wzdycha człowiek nowoczesny... Na t ę nowoczesność byliśmy chorzy – na gnuśny pokój, na kompromis tchórzliwy, na całą cnotliwą niechlujność nowoczesnego „tak” i „nie”. Ta tolerancja i *largeur*² serca, która wszystko „przebacza”, bo wszystko „pojmuje”, jest naszym *sirocco*. Raczej wśród lodów żyć niż wśród cnót nowoczesnych i innych wiatrów południowych!... Byliśmy dość waleczni, nie szczydziliśmy siebie ni innych, lecz nie wiedzieliśmy długo, d o k ą d nam z naszą walecznością. Sposepniliśmy, zwano nas fatalistami. N a s z y m fatum była pełnia, napięcie, stężenie sił. Łaknęliśmy błyskawicy i czynów, trzymaliśmy się jak najdalej od szczęścia słabeuszów, od „poddania”... Burza w naszym szalała powietrzu, przyroda, którą jesteśmy, zaciemniła się – b o n i e m i e l i ś m y ż a d n e j d r o g i. Formuła naszego szczęścia: „tak”, „nie”, linia prosta, c e l...

2.

Co jest dobre? – Wszystko, co uczucie mocy, wolę mocy, moc samą w człowieku podnosi.

Co jest złe? – Wszystko, co ze słabości pochodzi.

Co jest szczęściem? – Uczucie, że moc rośnie, że przewycięża się opór.

¹ Hiperboreje, Hiperborejczycy (gr. *hyperbóreios* – północny) – wg starożytnych Greków: mądry, wiecznie młody i żyjący w szczęściu lud zamieszkujący odległy kraj na Północy.

² *Largeur* (fr.) – szczodrość.

Nie zadowolenie, jeno więcej mocy; nie pokój w ogóle, jeno wojna; nie cnota, jeno dzielność (cnota w stylu odrodzenia, *virtù*, cnota bez moralizny).

Słabi i nieudani niech szczeną: pierwsza zasada naszej miłości dla ludzi. I pomoc należy im jeszcze do tego.

Co jest szkodliwsze niż jakikolwiek występki? – Litość czynna dla wszystkiego, co nieudane i słabe – chrześcijaństwo...

3.

Nie to, co ma złuzować ludzkość w kolejnym szeregu istot, jest problemem, który tu stawiam (– człowiek jest *kr es em* –): lecz jaki typ człowieka *h o d o w a ć* należy, jakiego *ch c i e ć* należy, jako wartościowszego, godniejszego życia, pewniejszego przyszłości.

Ten typ wartościowszy istniał już dość często: lecz jako szczęśliwy przypadek, jako wyjątek, nigdy jako *ch c i a n y*. Raczej o n właśnie największym przejmował strachem, był dotąd prawie *s a m ą* straszliwością; i z obawy chciano odwrotnego typu, hodowano go, *o s i ą g n i ę t o*: zwierzę domowe, zwierzę stadne, chore zwierzę człowiecze – chrześcijanina...

4.

Ludzkość nie przedstawia rozwoju ku lepszemu lub silniejszemu lub wyższemu, w ten sposób, jak się to dziś mniema. „Postęp” jest jeno ideą nowoczesną, to znaczy ideą fałszywą. Europejczyk dzisiejszy stoi wartością swoją głęboko pod Europejczykiem odrodzenia; rozwój dalszy nie jest zgoła mocą jakiejś konieczności wywyższeniem, podniesieniem, wzmocnieniem.

W innym znaczeniu udają się ustawicznie na najrozmaitszych miejscach ziemi i na gruncie najrozmaitszych kultur poszczególne wypadki, które rzeczywiście przedstawiają *t y p w y ż s z y*: coś, co w stosunku do zbiorowej ludzkości jest rodzajem nadczłowieka. Takie szczęśliwe wypadki wielkiej udaności były zawsze możliwe i będą może zawsze możliwe. A nawet całe rody, szczepy, ludy mogą w danych okolicznościach przedstawiać taką *w y g r a n ą*.

5.

Nie należy chrześcijaństwa ozdabiać i przystrajać: wydało ono *ś m i e r t e l n ą w o j n ę* temu *w y ż s z e m u* typowi człowieka, wyklęło wszystkie podstawowe tego typu instynkty, wydestylowało z tych instynktów zło, *s a -*

m e g o złego: człowieka silnego jako typowo pogardy godnego, jako „wyrzutka”. Chrześcijaństwo stanęło po stronie wszystkiego, co słabe, niskie, nieudane, stworzyło ideał ze sprzeciwiania się samozachowawczym instynktom silnego życia; zepsuło rozum nawet duchowo najsilniejszych, ucząc najwyższe wartości duchowe odczuwać jako grzeszne, na manowce wiodące, jako p o k u s z e n i a. Najżałośliwszy przykład: zepsucie Pascala, który wierzył w zepsucie swego rozumu przez grzech pierworodny, podczas gdy był on tylko przez jego chrześcijaństwo zepsuty! –

6.

Bolesne, grozą przejmujące ukazało mi się widowisko: ściągnąłem zasłonę z z e p s u c i a człowieka. Słowo to, w moich ustach, bronione jest przynajmniej od jednego podejrzenia: że zawiera moralne oskarżenie człowieka. Jest ono – chciałbym to raz jeszcze podkreślić – w o l n e o d m o r a l i z n y: i to do tego stopnia, że owo zepsucie tam właśnie najsilniej odczuwam, gdzie dotąd najświadomiej dążono do „cnoty”, do „boskości”. Rozumiem zepsucie, zgadujecie to już, w znaczeniu *décadence*: twierdzeniem mym jest, że wszystkie wartości, w których ludzkość teraz swe najwyższe pożądanja zebrała, są w a r t o ś c i a m i *décadence*.

Nazywam zwierzę, rodzaj, indywiduum zepsutym, jeśli straci swe instynkty, jeśli wybiera, jeśli p r z e n o s i n a d i n n e to, co dlań szkodliwe. Historia „uczuć wyższych”, „ideałów ludzkości” – i rzecz możliwa, że będę ją musiał opowiadać – byłaby prawie także wyjaśnieniem, d l a c z e g o c z ł o w i e k jest tak zepsuty. Życie samo uważam za popęd do wzrostu, trwałości, gromadzenia sił, do m o c y: gdzie brak woli mocy, tam jest upadek. Twierdzeniem mym jest, że wszystkim najwyższym wartościom ludzkości brak tej woli, że wartości upadkowe, wartości n i h i l i s t y c z n e panują pod najświętszymi imionami.

7.

Zwie się chrześcijaństwo religią l i t o ś c i. – Litość stoi w przeciwieństwie do afektów tonicznych, podnoszących energię poczucia życia: działa depresyjnie. Lituując się, traci się siłę. Przez litość zwiększa i wielokrotnie się jeszcze ubytek siły, który już sam cierpienie przynosi życiu. Samo cierpienie staje się przez litość zaraźliwym; w pewnych okolicznościach można osiągnąć przez nią ogólny ubytek życia i energii życiowej, który stoi w nieodzownym stosunku do *quantum* przyczyny (wypadek z śmiercią Nazaretańczyka). To jest pierwszy punkt widzenia; lecz istnieje jeszcze ważniejszy.

Jeśli się przypuści, że litość mierzy się wartością reakcji, którą wywoływać zwykła, to niebezpieczny jego dla życia charakter ukazuje się w jeszcze jaśniejszym świetle. Litość krzyżuje na ogół prawo rozwoju, które jest prawem selekcji. Utrzymuje ona przy życiu, co do śmierci dojrzało; broni siebie ku korzyści wydziedziczonych i skazańców życiowych, nadaje samemu życiu, wskutek bezliku wszelkiego rodzaju nieudanych, których przy życiu utrzymuje, wygląd posępny i podejrzany. Wazono się nazwać litość cnotą (– w każdej dostojnej moralności uchodzi ona za słabość –); posunięto się dalej, uczyniono z niej samą cnotę, grunt i źródło wszech cnót – tylko oczywista, o czym zawsze pomnieć należy, z punktu widzenia filozofii nihilistycznej, która zaprzeczenie życia na swej wypisała tarczy. Schopenhauer był co do tego w swym prawie: przez litość zaprzecza się życiu, czyni się je bardziej zaprzeczenia godnym – litość jest praktyką nihilizmu. By rzec raz jeszcze: ten depresyjny i zaraźliwy instynkt krzyżuje owe instynkty, które dążą do utrzymania życia i podwyższenia jego wartości: jest on zarówno jako morderca nędzy, jak też jako zachowawca wszystkiego, co nędzne, głównym narzędziem wzmocnienia *décadence* – litość namawia do nicości!... Nie mówi się „nicość”: natomiast mówi się „zaświat”; lub „Bóg”; lub „życie prawdziwe”; lub nirwana, zbawienie, szczęśliwość... Ta niewinna retoryka z dziedziny idiosynkrazji religijno-moralnych okazuje się natychmiast o wiele mniej niewinną, gdy się zrozumie, jak a dążność narzuca tu na siebie płaszcz wzniosłych słów: dążność wroga życia. Schopenhauer był wrogiem życia: dla tego litość stała się dlań cnotą... Arystoteles, jak wiadomo, widział w litości stan chorobliwy i niebezpieczny, któremu by należało czasem dopomóc środkiem przeczyszczającym: rozumiał on tragedię jako środek przeczyszczający. Ze stanowiska instynktu życia, trzeba by rzeczywiście poszukać środka, by takiemu chorobliwemu i niebezpiecznemu nagromadzeniu litości, jak to przedstawia przykład z Schopenhauerem (i niestety także nasza powszechna literacka i artystyczna *décadence* od Petersburga do Paryża, od Tolstoja do Wagnera), zadać pchnięcie: by pękło... Nie ma nic niezdrowszego, wśród naszej niezdrowej nowoczesności, nad litość chrześcijańską. Tu być lekarzem, tu być nieubłagany, tu krajać nożem – to nasze zadanie, to nasz rodzaj miłości człowieka, przez to jesteśmy filozofami i Hiperborejami! – –

8.

Trzeba koniecznie powiedzieć, kogo odczuwamy jako swoje przeciwieństwo – teologów i wszystko, co krew teologów ma w żyłach – naszą całą

filozofię... Trzeba było fatalność tę widzieć z bliska, lepiej jeszcze, trzeba było doświadczyć jej na sobie, trzeba było zniszczyć przez nią prawie, by tu nie znać już żartu (– wolno duchostwo naszych panów przyrodników i fizjologów jest w moich oczach żartem – brak im namiętności w tych rzeczach, cierpienia z ich powodu –). Owo zatrucie sięga o wiele dalej, niż się mniema: odnalazłem instynkt teologiczny „pychy” wszędzie, gdzie człowiek dziś czuje się „idealistą” – gdzie, wskutek wyższego pochodzenia, rości się sobie prawo do patrzenia na rzeczywistość z wyższością i obco... Idealista ma, zupełnie jak kapłan, wszystkie wielkie pojęcia w rękę (i nie tylko w rękę!), gra nimi z dobrotliwą pogardą przeciw „rozumowi”, „zmysłom”, „zaszczytom”, „dobrobytowi”, „wiedzy”, widzi podobne rzeczy pod sobą, jako siły szkodzące i uwodne, nad którymi unosi się duch w czystym „dla siebie” – jak gdyby nie pokora, czystość, ubóstwo, jednym słowem świętość, niewymownie więcej szkody dotychczas życiu przyniosły niż jakiegokolwiek straszliwości i występki... Czysty duch jest czystym kłamstwem... Dopóki kapłan uchodzi jeszcze za wyższy rodzaj człowieka, ten przecyiciel, oszczerca, truciciel życia z powołania, dopóty nie ma odpowiedzi na pytanie: co jest prawda? Przewrócono już prawdę do góry nogami, skoro świadomy adwokat nicości i zaprzeczenia uchodzi za przedstawiciela „prawdy”...

9.

Temu instynktowi teologów wydaję wojnę: znalazłem ślady jego wszędzie. Kto ma w żyłach krew teologów, stoi do wszystkich rzeczy w stosunku skośnym i nieuczciwym. Patos, który się z tego rozwija, zwie siebie wiarą: zamknięcie raz na zawsze oczu przed sobą, by nie cierpieć z powodu widoku nieuleczalnego fałszu. Z tej błędnej optyki w stosunku do wszystkich rzeczy czyni się sobie moral, cnotę, świętość, żąda się, by żaden inny rodzaj optyki nie śmiał mieć więcej wartości, skoro się własną uświęciło mianami „Bóg”, „zbawienie”, „wieczność”. Wszędzie dogrzebałem się jeszcze instynktu teologów: jest on najbardziej rozpowszechnioną, istotnie podziemną formą fałszu, jaka istnieje na ziemi. Co teolog jako prawdziwe odczuwa, musi być fałszywe: ma się w tym nieomal kryterium prawdy. Najgłębszy jego instynkt samozachowawczy zabrania dojść rzeczywistości w jakimkolwiek punkcie do czi lub choćby tylko do głosu. Dokąd wpływ teologów sięga, tam przewrócono ocenę wartości do góry nogami, tam pojęcia „prawdziwy” i „fałszywy” są z konieczności odwrócone; co najszkodliwsze dla życia, zwie się tu prawdziwe, co je podnosi, wznaga, potwierdza, usprawiedliwia i triumfującym czyni, zowie się fałszywym... Jeśli się zdarzy, że teo-

logowie poprzez „sumienie” książąt (lub ludów) po moc wyciągną rękę, nie wątpmy, co każdym razem w gruncie się dzieje: wola końca, wola nihilistyczna chce dojść do mocy.

10.

Wśród Niemców rozumieją natychmiast, gdy powiem, że filozofię skaziła krew teologów. Proboszcz protestancki jest dziadkiem filozofii niemieckiej, sam protestantyzm jego *peccatum originale*¹. Definicja protestantyzmu: jednostronny bezwład chrześcijaństwa – i rozumu... Wystarczy wypowiedzieć słowo „Instytut Tybingeński”, by zrozumieć, czym jest w gruncie filozofia niemiecka – podstępna teologia... Szwabi są najlepszymi w Niemczech kłamcami, kłamią niewinnie... Skąd radość, która z wystąpieniem Kanta przejmowała uczony świat niemiecki, składający się w trzech czwartych z pastorskich i nauczycielskich synów, skąd przekonanie niemieckie, które i dziś jeszcze znajduje swe echo, że od Kanta zaczyna się zwrot ku lepszemu? Instynkt teologiczny w uczonym niemieckim zgadł, co teraz znów umożliwionym zostało... Chyłkowa dróżka do starego ideału stała otworem, pojęcie „świata prawdziwego”, pojęcie moralności jako esencji świata (– te dwa najzłośliwsze błędy, jakie istnieją!) były teraz znowu, dzięki szczerzanie mądrym sceptycyzmowi, jeśli nie do dowiedzenia, to jednak już nie do obalenia... Rozum, prawo rozumu nie sięga tak daleko... Uczyniono z rzeczywistości „pozorność”; świat zgoła zęłgany, świat tego, co trwa w bycie, uczyniono rzeczywistością... Powodzenie Kanta było tylko powodzeniem teologicznym: Kant był, podobnie jak Luter, podobnie jak Leibniz, jednym hamulcem więcej w niepewnej sobie rzetelności niemieckiej –

11.

Jeszcze słowo przeciw Kantowi jako moralis cie. Pewna cnota musi być naszym wynalazkiem, naszą osobistą konieczną obroną i konieczną potrzebą: w każdym innym znaczeniu jest jeno niebezpieczeństwem. Co nie jest warunkiem naszego życia, szkodzi mu: cnota tylko z poczucia szacunku dla pojęcia „cnoty”, jak chciał Kant, jest szkodliwa. „Cnota”, „obowiązek”, „dobro w sobie”, dobro o charakterze bezosobistości i powszechnej obowiązkowości – majaki mózgu, w których wyraża się zanik, ostateczne osłabienie życia, chińszczyzna królewiecka. Coś odwrotnego nakazują najgłębsze prawa utrzymania się i wzrostu: by każdy wynalazł sobie swoją

¹ *Peccatum originale* (łac.) – grzech pierworodny.

cnotę, swój kategoryczny imperatyw. Każdy lud ginie, jeśli swój obowiązek pomiesza z pojęciem obowiązku w ogóle. Nic nie niszczy głębiej, wewnątrz, niż wszelki obowiązek „nieosobisty”, wszelka ofiara na ołtarzu molocha abstrakcji. – Że też nie odczuto kategorycznego imperatywu Kanta jako niebezpiecznego dla życia!... Sam instynkt teologiczny wziął go w obronę! – Każdy postępek, do którego zmusza instynkt życia, ma w przyjemności swój dowód, że jest słusznym postępkem: a każdy nihilista o chrześcijańsko dogmatycznych jelitach rozumiał przyjemność jako **z a - r z u t...** Co niszczy szybciej niż praca, myślenie, czucie bez konieczności wewnętrznej, bez głęboko osobistego wyboru, bez przyjemności? niż automat obowiązku? Jest to wprost **r e c e p t a** na *décadence*, aż do idiotyzmu... Kant stał się idiotą. – I to był współczesnik **G o e t h e g o!** Ten pajak złowieszczy uchodził za filozofa **n i e m i e c k i e g o** – uchodzi zań jeszcze!... Wystrzegam się mówić, co myślę o Niemcach... Nie widziałże Kant w rewolucji francuskiej przejścia z nieorganicznej formy państwa do **o r g a n i c z - n e j**? Nie pytałże się, czy nie istnieje zdarzenie, którego by zgola inaczej wytłumaczyć nie można, chyba tylko moralną zdolnością ludzkości, tak, by raz na zawsze przez nią „dążność ludzkości do dobrego” **d o w i e d z i o n ą** została? Odpowiedź Kanta: „jest to rewolucja”. Chybający instynkt w ogóle i w szczególności, przeciwnaturalność jako instynkt, niemiecka *décadence* jako filozofia – **j e s t t o K a n t!** –

12.

Pomijam kilku sceptyków, przyzwoity typ w historii filozofii: lecz reszta nie zna najpierwszych wymogów uczciwości intelektualnej. Czynią pospółto to, co kobiety, wszyscy ci wielcy marzyciele i dziwotwory – uważają „piękne uczucia” już za argumenty, „wzniesione łono” za miech bóstwa, przekonanie za **k r y t e r i u m** prawdy. W końcu usiłował Kant, w niewinności „niemieckiej” unaukować tę formę zepsucia, ten brak sumienia intelektualnego pojęciem „rozumu praktycznego”: osobno wynalazł rozum na wypadek, w którym nie ma się co troszczyć o rozum, mianowicie, jeśli odzywa się moral, wzniosłe żądanie „powinieneś”. Jeśli się zważy, że u wszystkich prawie ludów filozof jest tylko dalszym rozwojem typu kapłańskiego, to nie dziwi nas już to dziedzictwo po kapłanach, **f a ł s z e r s t w o m o n e t n a** **s w ó j w ł a s n y u ż y t e k**. Jeśli się ma święte zadania, na przykład polepszać ludzi, ratować, wyzwalać, jeśli się bóstwa w sercu nosi, jeśli się jest trąbą zaświatowych rozkazów, to mając taką misję stoi się już poza zakresem wszystkich tylko z rozumem zgodnych ocen wartości – **n a w e t** jest się już uświęconym takim zadaniem, nawet już typem wyższego porządku!... Cóż

obchodzi kapłana w i e d z a! Stoi on na to zbyt wysoko! – A kapłan dotąd p a n o w a! – U s t a n a w i a ł pojęcia: „prawdziwy” i „nieprawdziwy”!

13.

Nie lekceważmy tego: m y s a m i, my duchy wolne, jesteście już „przemianą wszystkich wartości”, w c i e l o n y m ogłoszeniem wojny i zwycięstwa wszystkim starym pojęciom o „prawdziwym” i „nieprawdziwym”. Najwartościowsze wnikięcia znajduje się najpóźniej; lecz najwartościowsze wnikięcia to m e t o d y. Wszystkie metody, wszystkie założenia terażniejszej naszej wiedzy miały przez tysiąclecia najgłębszą pogardę przeciw sobie: wskutek nich było się wyłączone z obcowania z „porządnymi” ludźmi, uchodziło się za nieprzyjaciela Boga, za gardzącego prawdą, za „opętańca”. Jako typ naukowy było się czandala¹... Mieliśmy cały patos ludzkości przeciw sobie – jej pojęcie o tym, czym prawda być w i n n a, czym służba dla prawdy być w i n n a: każde „powinieneś” było dotąd p r z e c i w nam zwrócone... Nasze obiekty, nasze praktyki, nasze zachowanie się ciche, ostrożne, nieufne – wszystko jej zdało się niegodnym i zasługującym na wzgardę. – Można by w końcu z pewną słusnością spytać się, czy to właściwie nie smak e s t e t y c z n y utrzymywał ludzkość w tak długiej ślepotcie: żądała ona od prawdy m a l a r s k i e g o efektu, żądała tak samo od poznającego, by silnie działał na zmysły. Nasza s k r o m n o ś ć sprzeciwiała się najdłużej jej smakowi... O, jakże to odgadły, te jędory Boga – –

14.

Nauczyliśmy się czego innego. Staliśmy się pod każdym względem skromniejsi. Nie wywodzimy już człowieka z „ducha”, z „boskości”, postawiliśmy go na powrót między zwierzętami. Uważamy go za zwierzę najsilniejsze, bo jest najchytrzejszym: następstwem tego jest jego duchowość. Z drugiej strony bronimy się przeciw próżności, która by i tutaj znów odezwać się mogła: jakoby człowiek był wielkim ukrytym zamysłem zwierzęcego rozwoju. Nie jest on zgoła koroną stworzenia, każde stworzenie jest, obok niego, na równym stopniu doskonałości... I twierdząc to, twierdzimy jeszcze za wiele: człowiek jest, względnie wzięwszy, najbardziej nieudanym zwierzęciem, najchorowitszym, najniebezpieczniej precz od swoich instynktów zbląkanym –

¹ C z a n d a l a – w Indiach: członek kasty niedotykalnych (pariasów), zjadaczy psów, pozabawionych m.in. prawa przebywania w świątyni i spożywania wspólnych posiłków z innymi Hindusami.

oczywiście, z tym wszystkim, także najbardziej zajmującym! – Co się tyczy zwierząt, to najpierw Kartezjusz, z czcigodną śmiałością wazył się na myśl rozumienia zwierząt jako *machina*: cała nasza fizjologia wysiła się na dowód tego twierdzenia. Nie usuwajmy też, logicznie biorąc, na bok człowieka, jak jeszcze Kartezjusz czynił: co w ogóle dziś o człowieku pojęto, to tyle właśnie, że się go rozumie jako maszynę. Niegdyś nadawano człowiekowi, jako jego wyprawę ze strony wyższego porządku, „wolną wolę”: dziś odebraliśmy mu nawet wolę, w tym znaczeniu, że przez to żadnej władzy rozumieć już nie wolno. Stare słowo „wola” służy tylko do określenia wyniku, rodzaju indywidualnej reakcji, która koniecznie następuje po mnóstwie części z sobą sprzecznych, częścią zgodnych podnieć: wola już nie „działa”, już nie „porusza”... Niegdyś widziano w świadomości człowieka, w „duchu”, dowód wyższości jego pochodzenia, jego boskości; by człowieka u z u p e ł n i ć, radzono mu, na sposób żółwia, wciągnąć w siebie zmysły, zaprzestać obcowania z ziemskością, zrzucić doczesną powłokę: potem pozostałaby po nim treść główna, jego „czysty duch”. Także co do tego zorientowaliśmy się lepiej: uświadamianie sobie, „duch”, uchodzi u nas właśnie za objaw względnej niedoskonałości organizmu, jako doświadczenie, macanie, chybianie, jako mózół, przy którym niepotrzebnie dużo zużywa się siły nerwowej – przeczmy, że cośkolwiek da się doskonałym uczynić, dopóki się jeszcze uświadamia. „Duch czysty” jest czystą głupotą: odliczmy system nerwowy i zmysły, „doczesną powłokę”, a pominie w rachunku siebie – nic więcej!...

15.

Ani moralność, ani religia nie styka się w chrześcijaństwie z żadnym punktem rzeczywistości. Same urojone przyczyny („Bóg”, „dusza”, „ja”, „duch”, „wolna wola” – lub też „niewolna”); same urojone skutki („grzech”, „zbawienie”, „łaska”, „kara”, „odpuszczenie grzechu”). Obcowanie urojonych istot („Bóg”, „duchy”, „dusze”); urojona wiedza przyrodnicza (antropocentryczna; zupełny brak pojęcia przyczyn przyrodzonych); urojona psychologia (same samonieporezumienia, interpretacje przyjemnych lub nieprzyjemnych uczuć ogólnych, na przykład stanów *nervi sympathici*, z pomocą mowy znakowej religijno-moralnej idiosynkrazji – „kara”, „wyrzut sumienia”, „pokusa diabelska”, „bliskość Boga”); urojona teleologia („Królestwo Boże”, „Sąd Ostateczny”, „życie wieczne”). – Ten świat czystej fikcji różni się tym bardzo z ujmą dla siebie od świata marzenia, że ten ostatni od z w i e r c i e d l a rzeczywistość, podczas gdy on rzeczywistość fałszuje, odziera z wartości, zaprzecza jej. Zanim wynaleziono dopiero pojęcie „natura”, jako przeciwstawienie pojęcia „Bóg”,

musiało „naturalny” być słowem na „godny pogardy” – ów cały świat fikcji ma swe korzenie w nie n a w i s c i do naturalności (rzeczywistość!), jest on wyrazem głębokiego niesmaku z tego, co rzeczywiste... L e c z t o w y j a ś n i a w s z y s t k o. Kto jedynie ma powody w y k ł a m y w a n i a się z rzeczywistości? Kto z jej powodu c i e r p i. Lecz cierpieć z powodu rzeczywistości znaczy być u n i e s z c z ę ś l i w i o n ą rzeczywistością... Przewaga uczuć nieprzyjemnych nad przyjemnymi jest p r z y c z y n ą owej fikcyjnej moralności i religii: taka przewaga jest formułą na *décadence*...

16.

Do podobnego wniosku zmusza krytyka c h r z e ś c i j a ń s k i e g o p o j ę c i a B o g a. – Lud, który jeszcze w siebie sam wierzy, ma też jeszcze swego własnego Boga. Czci w nim warunki, dzięki którym jest górą, swoje cnoty, przerzuca swą radość z siebie, swe poczucie mocy w istotę, której dziękczynić za to można. Kto bogaty, chce oddawać; lud dumny potrzebuje Boga, by s k ł a d a ć o f i a r y... Religia, w obrębie takich założeń, jest formą wdzięczności. Jest się wdzięcznym za samego siebie: po to potrzebuje się Boga. Taki Bóg musi umieć pomagać i szkodzić, musi umieć być przyjacielem jak wrogiem – podziwia się go w dobrym jak w złym. P r z e c i w n a t u r a l n a kastracja Boga na Boga dobra tylko leżałaby tu poza obrębem wszelkiej pożądaności. Potrzebuje się Boga złego tak jak dobrego: zawdzięcza się przecie istnienie własne chyba nie tolerancji, nie życzliwości dla ludzi... Cóż by zależało na Bogu, który by nie znał gniewu, zemsty, zawiści, szyderstwa, chytrości, gwałtu? Który by nie znał może nawet zachwycających *ardeurs*¹ zwycięstwa i zniszczenia? Nie rozumiano by takiego Boga: po cóż by go mieć? – Oczywiście: jeśli lud ginie; jeśli czuje, że wiara w przyszłość, jego nadzieja wolności ostatecznie znika; jeśli poddanie uświadamia się mu jako pierwszy pożytek, cnoty poddańcze jako warunki utrzymania się, wówczas m u s i się i Bóg jego zmienić. Staje się on teraz potulny, bojaźliwy, skromny, doradza „spokój duszy”, zaprzestania nienawiści, pobłażanie, nawet „miłość” dla przyjaciela i wroga. Moralizuje ustawicznie, włązi w jaskinię każdej cnoty prywatnej, staje się Bogiem każdego, osobą prywatną, kosmopolitą... Niegdyś przedstawiał jakiś lud, siłę jakiegoś ludu, wszystko, co w duszy jakiegoś ludu było agresywne i spragnione mocy: teraz jest tylko jeszcze dobrym Bogiem... Rzeczywiście, nie ma innej alternatywy dla Bogów: a l b o s ą oni wolą mocy – i tak długo będą bogami ludów – albo niemocą mocy – i wówczas z konieczności stają się d o b r y m i...

¹ *Ardeurs* (fr.) – zapaty, uniesienia.

Gdzie w jakiegokolwiek formie wola mocy ginie, istnieje też każdym razem fizjologiczne cofanie się, *décadence*. Bóstwo tej *décadence*, obrzezane na punkcie swych najbardziej męskich cnót i popędów, staje się teraz koniecznie Bogiem fizjologicznie cofniętych, słabych. Zwą oni siebie samych nie słabymi, zwą siebie „dobrymi”... Rozumie się, już bez potrzeby wskazówki, w jakich dopiero chwilach dziejów możliwą się staje dualistyczna fikcja dobrego i złego Boga. Tym samym instynktem, którym podbici ściągają Boga swego na szczybel „dobra w sobie”, wykreślają też z Boga swych zwycięzców dobre właściwości; mszczą się na swych panach tym, że p r z e r a b i a j ą n a d i a b ł a i c h B o g a . – Bóg dobry, jak i diabeł: obaj wyrodki *décadence*. – Jak można dziś jeszcze ustępować tak bardzo prostoduszności teologów chrześcijańskich, by wyrokować z nimi, że rozwój pojęcia Boga z „Boga Izraela”, „Boga ludowego”, w Boga chrześcijańskiego, w zbiorowe pojęcie wszelkiego dobra, jest p o s t ę p e m? – Lecz nawet Renan¹ to czyni. Jak gdyby Renan miał prawo do prostoduszności! Przeciwiństwo rzuca się przecie w oczy. Jeśli założenia w z n o s z ą c e g o s i ę życia, jeśli wszelką siłę, waleczność, władczość, dumę wyłączy się z pojęcia Boga, jeśli krok za krokiem zniży się on do symbolu łaski dla znużonych, deski ratunku dla wszystkich tonących, jeśli stanie się Bogiem ludzi biednych, Bogiem grzeszników, Bogiem chorych *par excellence*, a tytuł „Zbawca”, „Odkupiciel” niejako o s t a n i e s i ę , jako tytuł boski w ogóle: o c z y m ż e m ó w i t a k a p r z e m i a n a ? T a k a r e d u k c j a b o s k o ś c i ? – Oczywiście: „Królestwo Boże” większe się przez to stało. Niegdyś miał Bóg tylko swój lud, swój lud „wybrany”. Tymczasem poszedł, zupełnie jak sam lud jego, w obczyznę, na wędrowkę, nigdzie odtąd już nie zagrzał miejsca: a w końcu wszędzie czuł się w domu, stał się wielkim kosmopolitą – aż „wielką liczbę” i pół ziemi przeciągnął na swoją stronę. Lecz Bóg „wielkiej liczby”, demokratą wśród bogów, nie stał się mimo to dumnym bogiem pogańskim: pozostał Żydem, pozostał Bogiem zakątyw, Bogiem wszystkich nor i miejsc ciemnych, wszystkich niezdrowych zaułków całego świata!... Jego królestwo światowe jest nadal, jak przedtem, królestwem podziemnym, szpitalem, państwem *souterrain*², państwem getta... A on sam tak blady, tak słaby, taki *décadent*... Nawet najbledsi z błądych

¹ Ernest Renan (1823-92) – francuski historyk, filozof i filolog; autor 8-tomowej *Histoire des origines du Christianisme* (1863-81), do której należy praca *Żywot Jezusa*, zawierająca tezę, iż Chrystus, choć jest doskonałym pod względem moralnym człowiekiem, to jednak nie jest Bogiem; Renan podkreślał wagę religii, twierdząc jednocześnie, że jest ona wytworem ludzkiego umysłu.

² *Souterrain* (fr.) – podziemny.

jeszcze nim o władnęli, panowie metafizycy, albinosy pojęciowe. Osnuwali go tak długo wokoło, aż, zahipnotyzowany ich ruchami, sam stał się pająkiem, sam metafizykiem. Teraz on znów świat wysnuwał z siebie – *sub specie Spinozae*¹ – teraz przekształcał się w coraz większą cienkość i bladość, stał się „ideałem”, stał się „czystym duchem”, stał się *absolutum*, stał się „rzeczą samą w sobie”... Upadek Boga: Bóg stał się „rzeczą samą w sobie”...

18.

Chrześcijańskie pojęcie Boga – Bóg jako Bóg chorych, Bóg jako pająk, Bóg jako duch – jest jednym z najbardziej zepsutych pojęć Boga, jakie osiągnięto na ziemi; jest ono może nawet miernikiem stanu głębi w zstępującym rozwoju typu boskiego. Bóg wyrodzony w sprzeczność z życiem, zamiast być jego przejaśnieniem i wiecznym „Tak”! W Bogu wrogość zapowiedziana życiu, naturze, woli życia! Bóg formułą dla każdego oczernienia „tego świata”, dla każdego kłamstwa o „zaświecie”! W Bogu ubóstwiona nicość, woła nicości uświęcona!...

19.

Że silne rasy Europy północnej nie odepchnęły od siebie Boga chrześcijańskiego, to zaprawdę nie przynosi chwały ich uposażeniu religijnemu, nie mówiąc już o smaku. Z takim chorowitym i osłabłym ze starości wyrodkiem *décadence*, winny były koniecznie dojść do końca. Lecz klątwa ciąży na nich za to, że z nim nie doszły do końca: choroba, starość, sprzeczność weszły im we wszystkie instynkty – żadnego już odtąd Boga nie stworzyły! Dwa tysiąclecia prawie i ani jednego nowego Boga! Lecz wciąż jeszcze i jak coś stałego, jak *ultimatum* i *maximum* tworzącej bogów siły, człowieczego *creator spiritus*², ten politowania godny Bóg chrześcijańskiego monototeizmu! Ten mieszańczy twór upadku z zera, pojęcie i sprzeczność, w którym wszystkie instynkty *décadence*, wszystkie tchórzostwa i znużenia duszy mają swe uświęcenie! – –

¹ W oryginale gra słów: *spinnen* – *Spinne* – *Spinoza* (przyp. tłum.); *spinnen* – prząść; *Spinne* – pająk.

² *Creator spiritus* (łac.) – duch stwórcy.

Potępieniem chrześcijaństwa nie chciałbym dopuścić się krzywdy na pokrewnej religii, która ilością wyznawców nawet przeważa: na b u d d y - z m i e. Obie łączą się z sobą jako religie nihilistyczne – są religiami *décadence* – obie są oddzielone od siebie w najprzedziwniejszy sposób. Że je teraz p o r ó w n y w a ć można, za to krytyk chrześcijaństwa głęboko jest wdzięczny uczonemu indyjskiemu. – Buddyzm jest stokroć realistyczniejszy od chrześcijaństwa – ma we krwi dziedzictwo przedmiotowego i chłodnego stawiania problemów, zjawia się p o trwającym lat setki ruchu filozoficznym; w chwili pojawienia się jego jest pojęcie „Bóg” już uprzątnięte. Buddyzm jest jedyną właściwie p o z y t y w i s t y c z n ą religią, jaką nam ukazuje historia, nawet jeszcze w swojej teorii poznania (surowym fenomenalizmie), nie mówi już „walka przeciw g r z e c h o w i”, lecz, zgoła rzeczywistości przyznając prawo, „walka przeciw c i e r p i e n i u”. Ma on – to różni go głęboko od chrześcijaństwa – samooszustwo pojęć moralnych już za sobą – stoi, mówiąc moim językiem, p o z a dobrem i złem. – Oto d w a fakty fizjologiczne, na których spoczywa i które ma na oku: p o p i e r w s z e nadmierna pobudliwość wrażliwości, która wyraża się jako wyrafinowana zdolność cierpienia, p o t e m przeduchowienie, nazbyt długie życie w pojęciach i procedurach logicznych, wśród którego instynkt osobowy doznał szkody z korzyścią „bezosobistości” (jedno i drugie stany, które przynajmniej niektórzy moi czytelnicy, „przedmiotowi”, jak ja sam, znać będą z doświadczenia). Na gruncie tych fizjologicznych warunków powstała d e p r e s j a: przeciw niej Budda zabiega higienicznie. Stosuje przeciw niej życie na wolnym powietrzu, życie wędrowne; umiarkowanie i wybór w pożywieniu; ostrożność względem wszystkich *spirituosa*; tak samo ostrożność przed afektami, które żółć wzbudzają, rozpalają krew: żadnej t r o s k i, ani o siebie, ni o innych. Wymaga wyobrażeń, które ani nie darzą spokojem, ani rozweselają – wynajduje środki do odwyknięcia od innych. Rozumie dobroć, dobrotliwość jako sprzyjające zdrowiu. M o d l i t w a jest wykluczona, tak samo jak asceza; żadnego kategorycznego rozkazu, żadnego m u s u w ogóle, nawet w obrębie zgromadzenia klasztorowego (można znów wystąpić). To wszystko miały być środki do wzmocnienia owej nadmiernej pobudliwości. Właśnie dlatego nie wymaga też walki z myślącymi inaczej; nauka jego przeciw'niczemu nie broni się więcej, niż przeciw uczuciu zemsty, odraży, *ressentiment* („nieprzyjaźni nieprzyjaźń kresu nie położy”: wzruszający refren całego buddyzmu...). I to słusznie: właśnie te afekty byłyby zgoła n i e z d r o w e ze względu na główny cel dietetyczny. Znużenie duchowe, które on zastaje i które wyraża się w zbyt wielkiej „przedmiotowości” (to znaczy w osłabieniu interesu indywi-

dualnego, w stracie na wadze, na „egoizmie”), zwalcza, sprowadzając ściśle i najbardziej duchowe interesy do o s o b y. W nauce Buddy egoizm staje się obowiązkiem: owo „jednego potrzeba”, owo „jak t y uwolnisz się od cierpienia” reguluje i ogranicza całą dietę duchową (należy może przypomnieć sobie owego Ateńczyka, który również z czystą „naukowością” wiódł wojnę, Sokratesa, który egoizm osobisty także w państwie problematów podniósł do morału).

21.

Warunkiem buddyzmu jest bardzo miękki klimat, wielka łagodność i swoboda obyczajów, b r a k militaryzmu; i to, że ruch miał swe ognisko wśród wyższych, a nawet uczonych, stanów. Pragnie się pogody, ciszy i niezwywania żadnych życzeń, jako celu najwyższego i o s i ą g a się ten cel. Buddyzm nie jest religią, w której się tylko do doskonałości dąży: doskonałość jest wypadkiem normalnym. –

W chrześcijaństwie występują na czoło instynkty podbitych i uciśnionych: najniższe stany szukają w nim zbawienia. Kazuistykę grzechu, samokrytykę, inkwizycję sumienia uprawia się tu jako z a j ę c i e, jako środek przeciw nudzie; podtrzymuje się tu nieustannie afekt dla m o c a r z a, zwanego „Bogiem” (mocą modlitwy); to co najwyższe uchodzi tu za nieosiągalne, za dar, za „łaskę”. Brak tu także jawności; kryjówka, ciemna przestrzeń jest chrześcijańska. Ciało jest tu w pogardzie, higienę uchyla się jako zmysłowość; Kościół broni się nawet przeciw czystości (pierwszym zarządzeniem chrześcijańskim po wypędzeniu Maurów było zamknięcie kąpieli publicznych, których sama Kordowa posiadała 270). Chrześcijański jest pewien zmysł okrucieństwa względem siebie i innych; nienawiść do inaczej myślących; wola prześladowania. Posępne i wstrząsające wyobrażenia stoją na pierwszym planie; najbardziej pożądane, najwyższymi mianami określone stany to epilepsoidy; wybiera się tak dietę, by sprzyjała zjawiskom chorobliwym i przedrażniała nerwy. Chrześcijańską jest wrogość śmiertelna przeciw panom ziemi, przeciw „dostojnym” – a zarazem ukryte, tajemne współzawodnictwo (pozostawia się im „ciało”, chce się t y l k o „duszy”...). Chrześcijańską jest nienawiść do d u c h a, do dumy, odwagi, wolności, *libertinage*¹ ducha; chrześcijańską jest nienawiść do z m y s ł ó w, do radości zmysłów, do radości w ogóle...

¹ *Libertinage* (fr.) – libertynizm; rozwiązłość.

Chrześcijaństwo, opuściwszy swój pierwszy grunt, stany najniższe, p o d - z i e m i e starożytnego świata, wyszedłszy po moc między ludy barbarzyńskie, nie miało tu już jako założenia ludzi z n u ż o n y c h, lecz wewnętrznie zdziczałych i rozzierających się ludzi – człowieka silnego, lecz nieudanego. Niezadowolenie z siebie, cierpienie z powodu siebie nie jest tu, jak u buddystów, nadmierną pobudliwością i zdolnością cierpienia, raczej odwrotnie, przemożnym pragnieniem zadawania bólu, pragnieniem upustu wewnętrznego napięcia we wrogich działaniach i wyobrażeniach. Chrześcijaństwo potrzebowało b a r b a r z y Ń s k i c h pojęć i wartości, by stać się barbarzyńców panem: takimi są ofiara z pierwocin, picie krwi przy komunii, pogarda ducha i kultury; tortura w każdej formie, zmysłowa i niezmysłowa; wielki przepych kultu. Buddyzm jest religią dla ludzi p ó ź n y c h, dla ras dobrotliwych, łagodnych, przeduchowionych, które zbyt łatwo ból odczuwają (Europa będzie jeszcze długo niedojrzała doń): jest on sprowadzeniem ich na powrót do spokoju i pogody, do diety w rzeczach duchowych, do pewnego zahartowania w cielesnych. Chrześcijaństwo chce stać się panem z w i e - r z ą t d r a p i e ż n y c h; środkiem jego jest uczynić je c h o r y m i, osłabienie jest chrześcijańską receptą celem o s w o j e n i a, celem „cywilizacji”. Buddyzm jest religią dla końca i znużenia cywilizacji, chrześcijaństwo nie zastaje jej nawet jeszcze – stwarza ją przy sposobności.

Buddyzm, by rzecz raz jeszcze, jest stokroć chłodniejszy, prawdziwszy, bardziej przedmiotowy. Nie potrzebuje on już u p r z y s t a j n i a ć sobie swego bólu, swej zdolności cierpienia przez interpretację grzechu – mówi jeno, co myśli, „cierpię”. Natomiast dla barbarzyńcy cierpienie nie jest w sobie niczym przystojnym: potrzebuje on najpierw wyłożenia, by przyznać się przed sobą, że cierpi (instynkt jego zwraca go raczej do zaprzeczenia cierpienia, do cichego znoszenia). Słowo „diabeł” było tu dobrodziejstwem: miało się przepotężnego i straszliwego wroga – nie trzeba się było wstydić, że się cierpi z powodu takiego wroga. –

Chrześcijaństwo ma na dnie kilka subtelności, które są własnością Wschodu. Przede wszystkim wie ono, że jest to zgoła w sobie obojętne, czy coś jest prawdziwe, lecz rzeczą najwyższej wagi, o i l e się je za prawdziwe uważa. Prawda i w i a r a, że coś jest prawdziwe: dwa zgoła rozbieżne światy interesów, prawie światy p r z e c i w s t a w n e – dochodzi się do jednego i do drugiego zasadniczo różnymi drogami. Wiedzieć o tym – to c z y n i n a

Wschodzie niemal mędrca: tak to rozumieją bramini, tak to rozumie Plato, tak każdy uczeń ezoterycznej mądrości. Jeśli na przykład w wierze, że się jest wybawionym z grzechu, leży s z c z ę ś c i e, to uprzednim warunkiem tego n i e jest, by człowiek był grzeszny, lecz by c z u ł się grzesznym. Jeśli jednak w o g ło w i a r y przede wszystkim potrzeba, to musi się zdyskredytować rozum, poznanie, badanie: droga do prawdy staje się drogą z a k a z a n ą. – Silna n a d z i e j a jest daleko większym *stimulans* życia niż jakiegokolwiek poszczególne rzeczywistości spełniające się szczęście. Trzeba podtrzymywać cierpiących nadzieją, której żadna rzeczywistość sprzeciwić się nie może, której żadne nie u s u n i e spełnienie: nadzieją zaświatową. (Właśnie z powodu tej zdolności bałamucenia nieszczęśliwego uchodziła nadzieja u Greków za zło najwyższe, za zło istotnie c h y t r e: pozostało w beczce zła). – By m i ł o ś ć możliwą była, musi Bóg być osobą; by najniższe instynkty także przemawiać mogły, musi Bóg być młody. Dla żarliwości kobiet trzeba na pierwszy plan wysunąć pięknego świętego, dla żarliwości mężczyzn Marię. To pod warunkiem, jeśli chrześcijaństwo chce się stać panem na gruncie, gdzie kultu Afrodyty lub Adonisa ustaliły już p o j ę c i e kultu. Wymaganie c z y s t o ś c i wzmacnia gwałtowność i wewnętrzną religijnego instynktu – czyni kult cieplejszym, bardziej marzycielskim i pełniejszym duszy. – Miłość jest stanem, w którym człowiek widzi rzeczy przeważnie tak, jak n i e są. Moc iluzoryczna stoi tu na swej wyżynie, tak samo moc osładzająca, p r z e j a ś n i a j ą c a. W miłości znosi się więcej niż kiedy indziej, ścierpi się wszystko. Trzeba było wynaleźć religię, w której kochać można: przez to wydobyto się ponad to, co najgorsze w życiu – nie widzi się go już zgoła. Tyle o trzech cnotach chrześcijańskich, wierze, miłości, nadziei; zwę je trzema r o z t r o p n o ś c i a m i chrześcijańskimi. – Buddyzm był za późny, za pozytywistyczny na to, by jeszcze w ten sposób być roztropnym. –

24.

Dotykam tu tylko problemu p o w s t a n i a chrześcijaństwa. P i e r w s z e twierdzenie do jego rozwiązania brzmi: chrześcijaństwo rozumieć można jedynie na gruncie, z którego wyrosło – n i e jest ono ruchem przeciwko instynktowi żydowskiemu, jest ono samą jego konsekwencją, dalszym wnioskiem jego przejmującej strachem logiki. W formule Zbawiciela: „zbawienie od Żydów pochodzi”¹. – D r u g i e twierdzenie brzmi: psychologiczny typ Galilejczyka da się jeszcze rozpoznać, lecz dopiero w najzupełniejszym swym zwyrodnieniu (które jest zarazem okaleczeniem i przeładowaniem obcymi

¹ Por. J 4, 24.

rysami) mógł służyć na to, na co użyty został, za typ Z b a w i c i e l a ludzkości.

Żydzi są najprzedziwniejszym ludem w dziejach świata, ponieważ stanawszy wobec zagadnienia istnienia i nieistnienia, z zupełną i niesamowitą świadomością wybrali istnienie z a w s z e l k ą c e n ę: tą ceną było radykalne sfalszowanie wszelkiej natury, wszelkiej naturalności, wszelkiej realności, tak samo całego świata wewnętrznego, jak zewnętrznego. Odgraniczyli się o d w s z y s t k i c h w a r u n k ó w, pod którymi dotąd mógł żyć lud jakiś, pod którymi mu żyć było w o l n o; stworzyli z siebie pojęcie przeciwstawne n a t u r a l n y m w a r u n k o m – przeniecowali kolejno religię, kult, moralność, historię w sposób nieuleczalny na s p r z e c z n o ś ć z i c h n a t u r a l n y m i w a r t o ś c i a m i. Z tym samym zjawiskiem spotykamy się raz jeszcze i to w niewymownie zwiększonych proporcjach, mimo to jako z kopią: Kościółowi chrześcijańskiemu brak, w porównaniu z „ludem świętych”, wszelkiej pretensji do oryginalności. Żydzi są, właśnie przez to, n a j f a t a l n i e j s z y m ludem w dziejach świata: w późniejszym swym oddziaływaniu uczynili ludzkość do tego stopnia fałszywą, że dziś jeszcze chrześcijanin czuć może w sposób antyżydowski, nie rozumiejąc, że jest o s t a t n i ą k o n s e k w e n c j ą ż y d o w s k ą.

W swej *Genealogii moralności* przedstawiłem po raz pierwszy psychologicznie przeciwstawne pojęcia moralności dostojnej i moralności z *ressentiment*, ostatnią jako tę, która wytrysła z „Nie” przeciw pierwszej: lecz to jest na wskroś moralność żydowsko-chrześcijańska. By móc „Nie” mówić wszystkiemu, co przedstawia na ziemi w s t ę p n y r u c h ż y c i a, udaność, moc, piękno, potwierdzenie siebie, musiał tu do geniuszu podniesiony instynkt *ressentiment* wynaleźć sobie świat i n n y, z którego owo p o t w i e r d z e n i e ż y c i a wydało się złym, pogardy godnym w sobie. Ze stanowiska psychologicznego, był lud żydowski ludem najtęższej siły żywotnej, który postawiony wśród najniemożliwszych warunków, dobrowolnie, z najgłębszej mądrości utrzymania się, bierze stronę wszystkich instynktów *décadence* – nie jako przez nie opanowany, lecz ponieważ odgadł w nich moc, którą przeprzeć siebie można w b r e w „świata”. Żydzi są przeciwieństwem wszelkiej *décadence*: musieli ją p r z e d s t a w i a ć aż do złudzenia, umieli dzięki geniuszowi *non plus ultra*¹ aktorskiemu stanąć na czele wszelkich ruchów *décadence* (jako chrześcijaństwo P a w ł a), by z nich coś stworzyć, co silniejsze niż wszelka p o t w i e r d z a j ą c a życie partia. *Décadence* jest dla rodzaju ludzi, którzy w żydostwie i chrześcijaństwie doszli do mocy, dla rodzaju k a p ł a ń s k i e g o, tylko ś r o d k i e m: ten rodzaj ludzi ma interes

¹ *Non plus ultra* (łac.) – niedościgniony.

życiowy w tym, by ludzkość chorą uczynić i pojęcia „dobry” i „zły”, „prawdziwy” i „fałszywy” przenieść na niebezpieczne dla życia i świat ocierające znaczenie. –

25.

Historia Izraela jest nieoceniona, jako typowa historia wszelkiego w y n a t u r z e n i a wartości naturalnych: wskazuję pięć takich faktów. Pierwotnie, przede wszystkim w czasach królestwa, znajdował się Izrael do wszystkich rzeczy w słusznym, to znaczy naturalnym stosunku. Jego Jehowa był wyrazem świadomości mocy, radości z siebie, nadziei pokładanej w sobie: oczekiwano w nim zwycięstwa i ocalenia, ufano przez niego naturze, że da, czego ludowi trzeba – przede wszystkim deszczu. Jehowa jest Bogiem Izraela, a p r z e t o Bogiem sprawiedliwości: logika każdego ludu, który ma moc i czyste pod tym względem sumienie. W uroczystym kulcie wyrażają się obie te strony samopotwierdzenia jakiegoś ludu: jest on wdzięczny za wielkie losy, które go wyniosły, jest wdzięczny za zmiany pór roku i wszelkie szczęście w chowie bydła i uprawie roli. – Ten stan rzeczy pozostawał długo jeszcze ideałem, nawet gdy w sposób smutny ustał: anarchia wewnątrz, Asyryjczycy od zewnątrz. Lecz lud zachował jako najwyższe pożądanie ową wizję króla, który jest dobrym żołnierzem i surowym sędzią: przede wszystkim ów typowy prorok (to znaczy krytyk i satyryk chwili) Izajasz. – Lecz żadna nadzieja nie spełniała się. Stary Bóg nie u m i a ł już nic z tego, co umiał niegdyś. Trzeba go było puścić kantem. Co się stało? Z m i e n i o n o jego pojęcie – w y n a t u r z o n o jego pojęcie: za tę cenę zachowano go. – Jehowa, Bóg „sprawiedliwości” – j u ż n i e jedność z Izraelem, wyraz samopoczucia ludu: jeszcze tylko Bóg pod warunkami... Pojęcie jego staje się narzędziem w rękach agitatorów kapłańskich, którzy wszelkie szczęście tłumaczą teraz jako nagrodę, wszelkie nieszczęście jako karę za nieposłuszeństwo względem Boga, za „grzech”: ów najkłamliwszy sposób tłumaczenia rzekomo „moralnego porządku świata”, przewracający raz na zawsze naturalne pojęcie „przyczyny” i „skutku” do góry nogami. Dopiero gdy nagrodą i karą uprzętnęło się ze świata naturalną przyczynowość, potrzeba przyczynowości p r z e c i w n a t u r a l n e j: cała reszta nienaturalności występuje teraz. Bóg, który w y m a g a – zamiast Boga, który pomaga, który używa rady, który w gruncie rzeczy jest wyrazem na wszelką szczęśliwą inspirację odwagi i ufności w sobie... M o r a l n o ś ć już nie wyrazem warunków życia i wzrostu ludu, już nie najgłębszym instynktem życia, lecz abstrakcją, przeciwstawieniem życia – moralność jako zasadnicze pogorszenie wyobraźni, jako „złe spojrzenie” dla wszystkich rzeczy. C z y m jest żydowska, c z y m chrześcijań-

ska moralność? Przypadkiem, pozbawionym swej niewinności; nieszczęściem, zbrudzone przez pojęcie „grzechu”, dobrobytem, pojętym jako niebezpieczeństwo, jako „pokusa”; fizjologicznym niedomaganiem, zatrutym przez robaka sumienia...

26.

Pojęcie Boga sfalszowano; pojęcie moralności sfalszowano: kapłaństwo żydowskie nie poprzestało na tym. Cała historia Izraela była niepotrzebna: precz z nią! – Kapłani ci dokonali tego cudu fałszu, którego dokumentem jest nam większa część Biblii: z bezprzykładowym urąganiem wszelkiej tradycji, wszelkiej rzeczywistości historycznej, własną przeszłość ludową przetłumaczyli na religijność, to znaczy zrobili z niej głupi mechanizm zbawczy winy względem Jehowy i kary, bogobojności względem Jehowy i nagrody. Odczuwalibyśmy o wiele boleśniej ten najhaniebniejszy akt fałszerstwa historycznego, gdyby kościelne tłumaczenie historii od tysiącleci nie było nas prawie stępilo na wymagania uczciwości *in historicis*. A Kościołowi wtórowali filozofowie: kłamstwo „moralnego porządku świata” ciągnie się przez cały rozwój nawet nowszej filozofii. Co znaczy „moralny porządek świata”? Że istnieje, raz na zawsze, wola Boża, co człowiek ma czynić, a czego zaniechać; że wartość jakiegoś ludu, jednostki mierzy się tym, czy się bardzo, czy mało jest woli Bożej posłusznym; że w losach jakiegoś narodu, jednostki, wola Boża przejawia się władczym, to znaczy karząco lub nagradzająco, zależnie od stopnia posłuszeństwa. Rzeczywistość miast tego pożałowania godnego kłamstwa brzmi: pasożytniczy rodzaj człowieka, który udaje się tylko kosztem wszystkich zdrowych twórców życia, kapłan, nadużywa imienia Boga: zwie on stan rzeczy, w którym kapłan wartość rzeczy ustanawia, „Królestwem Bożym”; środki, których mocą osiąga lub podtrzymuje się taki stan, zwie „wolą Bożą”; z zimnokrwistym cynizmem mierzy ludy, czasy, jednostki wedle tego, czy były przemocy kapłańskiej pożyteczne, czy też się jej opierały. Trzeba ich widzieć przy robocie: pod rękami kapłanów żydowskich stał się czas wielkości w historii Izraela czasem upadku; wygnanie, długotrwałe nieszczęście zmieniło się w karę wieczną za czas wielkości – czas, w którym kapłan był jeszcze niczym. Z potężnych, bardzo swobodnie 'udanych postaci Izraela, czynili, wedle potrzeby, mizernych lizunów i milczków lub „bezbożnych”, upraszczali psychologię każdego wielkiego zdarzenia do idiotycznej formuły „posłuszeństwa lub nieposłuszeństwa Bogu”. – Krok dalej: „wola Boża”, to znaczy warunki ostania się mocy kapłanów, musi być znana – do tego celu trzeba „objawienia”. Po naszymu: konieczne jest wielkie fałszerstwo

literackie, odkrywa się „Pismo święte” – objawia się je wśród całego hierarchicznego przepychu, z dniami pokutnymi i wrzaskiem jęku z powodu długotrwałego „grzechu”. „Wola Boża” była z dawna ustanowiona: całe nieszczęście leży w tym, że odwrócono się od „Pisma świętego”... Już Mojżeszowi objawiona była „wola Boża”... Co się stało? Kapłan sformułował surowo, pedantycznie, aż do wielkich i małych podatków, które mu płacić się miało (nie zapominając o najsmaczniejszych kęsach mięsa: bo kapłan żre *beefsteak*’i), sformułował raz na zawsze, co chce mieć, „co jest wolą Bożą”... Odtąd wszystkie sprawy życia są tak urządzone, że kapłan jest w s z ę d z i e n i e z b ę d n y; we wszystkich naturalnych zdarzeniach życiowych, przy urodzeniu, małżeństwie, chorobie, śmierci, nie mówiąc już o ofierze („wieczerzy”), zjawia się święty pasożyt, by je w y n a t u r z y ć: w języku jego „uświęcić”... Bo to zrozumieć trzeba: każdy naturalny obyczaj, każdą naturalną instytucję (państwo, postępowanie sądowe, małżeństwo, troskę o chorych i ubogich) wszystkie przez instynkt życia natchnione żądania, słowem wszystko, co ma w s o b i e s w ą wartość, pasożytnictwo kapłanów czyni zasadniczo bezwartościowym, wartości p r z e c i w n y m; wymaga ono dodatkowej sankcji – potrzebuje n a d a j ą c e j w a r t o ś ć mocy, która w nim natury zaprzecza i przez to właśnie dopiero wartość s t w a r z a... Kapłan odziera z wartości, z ś w i ę t o ś c i naturę: za tę cenę istnieje w ogóle. – Nieposłuszeństwo względem Boga, to znaczy względem kapłana, względem „prawa”, otrzymuje teraz miano „grzechu”; środki do „pojednania się znowu z Bogiem”, to – jak słuszna – te, które uległość mocy kapłanów jeszcze gruntowniej tylko zabezpieczają: tylko kapłan „wyzwala”... Ze stanowiska psychologicznego, stają się „grzechy” w każdej, po kapłańsku zorganizowanej społeczności, niezbędne; są one właściwą poręką mocy, kapłan ż y j e z g r e c h ó w, potrzebuje jeszcze, by „grzeszono”... Najwyższa zasada: „Bóg przebacza temu, kto czyni pokutę” – po naszymu: k t o s i ę p o d d a k a p ł a n o w i . –

27.

Na f a ł s z y w y m w ten sposób gruncie, gdzie wszelka natura, wszelka wartość naturalna, wszelka r z e c z y w i s t o ś ć miała przeciwko sobie najgłębsze instynkty panującej klasy, wyrosło chrześcijaństwo, forma śmiertelnej nieprzyjaźni względem rzeczywistości, forma dotąd nieprzewyższona. „Lud święty”, który dla wszystkich rzeczy zachował tylko kapłańskie wartości, tylko słowa kapłańskie i z przejmującą leką konsekwencją wszystko, co jeszcze z mocy na ziemi istniało, oddzielił od siebie, jako „nieświęte”, jako „świat”, jako „grzech” – ten lud wytworzył dla swego instynktu ostatnią

formułę, logiczną aż do zaprzeczenia siebie: jako chrześcijaństwo, zaprzeczył jeszcze ostatniej formie rzeczywistości, „ludu świętego”, „ludu wybranego”, z y d o w s k i e j rzeczywistości samej. Wypadek jest największego znaczenia: drobny, buntowniczy ruch, ochrzczony od imienia Jezusa z Nazaretu, jest instynktem żydowskim r a z j e s z c z e – inaczej mówiąc, instynktem kapłańskim, który nie znosi już kapłana jako rzeczywistości, wynalazkiem jeszcze b a r d z i e j o d e r w a n e j formy istnienia, jeszcze m n i e j r e a l n e j wizji świata, niż tego organizacja Kościoła wymaga. Chrześcijaństwo z a p r z e c z a Kościołowi...

Nie widzę, przeciw czemu zwrócony był bunt, za którego sprawcę Jezus uchodził w rozumieniu lub n i e p o r o z u m i e n i u ludzkim, jeśli to nie był bunt przeciw Kościołowi żydowskiemu, Kościołowi w tym samym zgoła znaczeniu, w jakim go dziś używamy. Był to bunt przeciw „dobrym i sprawiedliwym”, przeciw „świętym Izraela”, przeciw hierarchii społecznej – n i e p r z e c i w j e j z e p s u c i u, lecz przeciw kaście, przywilejowi, porządkowi, formule; była to n i e w i a r a w „ludzi wyższych”, „N i e” – powiedziane wszystkiemu, co było kapłanem i teologiem. Przecież hierarchia, która przez to, choć tylko na chwilę, podana została w wątpliwość, była budową palową, na której lud żydowski, pośród „wody”, w ogóle jeszcze istniał, z trudem zdobytą ostatnią możliwością ostania się, *residuum* jego politycznej odrębności: atak na nią był atakiem na najgłębszy instynkt ludowy, na najwytrwalszą ludową wolę życia, jaka kiedykolwiek istniała na ziemi. Ten święty anarchista, który wzywał motłoch, odepchniętych i „grzeszników”, wszystkich c z a n d a l a w obrębie żydowszczyzny, do oporu przeciw panującemu porządkowi – językiem, który i dziś jeszcze, jeśli można ufać Ewangeliiom, wiódłby na Sybir – był politycznym zbrodniarzem, o ile właśnie polityczni zbrodniarze w n i e - d o r z e c z n i e n i e p o l i t y c z n e j społeczności byli możliwi. To go doprowadziło do krzyża: dowodem tego jest napis na krzyżu. Umarł za s w o - j ą winę – brak wszelkiej do tego podstawy, pomimo że często tak właśnie twierdzono, że umarł za winę innych. –

28.

Zgoła inne jest pytanie, czy miał on w ogóle świadomość takiego przeciwstawienia – czy się go tylko nie o d c z u w a ł o jako' to przeciwstawienie. I tu dopiero dotykam problemu p s y c h o l o g i i Z b a w i c i e l a. – Wyznaję, że mało książek z takimi czytam trudnościami, jak Ewangelie. Inne to trudności niż owe, z których wykazania uczona ciekawość niemieckiego ducha święciła jeden z swych najbardziej niezapomnianych tryumfów. Miął czas, gdy i ja, podobnie jak każdy młody uczoney, rozkoszował się,

z roztropną powolnością wyrafinowanego filologa, dziełem nieporównanego Straussa¹. Miałem wówczas lat dwadzieścia: teraz za poważny jestem na to. Co mnie obchodzą sprzeczności „tradycji”? Jak można w ogóle nazywać „tradycją” legendy o świętych! Historie o świętych są najdwuznaczniejszą literaturą, jaka w ogóle istnieje: stosować do nich metodę naukową, jeśli i żadnych poza tym nie ma dokumentów, zdaje mi się rzeczą z góry przesądzoną – tylko uczonym próżnowaniem...

29.

Co mnie obchodzi, to psychologiczny typ Zbawiciela. Ten zaś mógłby być zachowany w Ewangeliach mimo Ewangelii, choćby nie wiedzieć jak nawet okaleczony i obławowany obcymi rysami: jak Franciszek z Asyżu zachowany jest w legendach o sobie, mimo legendy o sobie. Nie prawda o tym, co uczynił, co powiedział, jak właściwie umarł: lecz pytanie, czy typ jego w ogóle jeszcze da się wyobrazić, czy jest „przekazany”? Znane mi usiłowania wyczytania z Ewangelii nawet dziejów „duszy”, zdają mi się dowodami godnej odrazy lekkomyślności psychologicznej. Pan Renan, ten błazen *in psychologicis*, dorzucił do tego dwa najnieślychańsze pojęcia dla swego wyjaśnienia typu Jezusa, jakie w tym względzie istnieć mogą: pojęcie *geniusza* i pojęcie *bohatera* (*héros*). Lecz jeśli co jest nieewangelicznego, to pojęcie bohatera. Właśnie przeciwieństwo wszelkich zapasów, wszelkiego poczucia się w walce stało się tu instynktem: niezdolność oporu staje się tu morałem („nie sprzeciwiaj się złu” – najgłębsze słowo Ewangelii, ich klucz w pewnym znaczeniu), błogość w pokoju, w łagodności, w niemotności, by być wrogiem. Co znaczy „nowina radosna”? Życie prawdziwe, życie wieczne jest znalezione – nie obiecuje się go, ono jest tu, jest w was: jako życie w miłości, jako miłość bez odjęcia i wyłączenia, bez odległości. Każdy jest dziećciem Boga – Jezus do niczego nie rości sobie wyłącznego prawa – jako dzieci Boga wszyscy są sobie równi... Jezusa *bohaterem* czynić! – I jakimż nieporozumieniem aż słowo „geniusz”! Całe nasze pojęcie, nasze kulturalne pojęcie „ducha” nie ma w świecie, w którym żyje Jezus, żadnego zgoła sensu. Mówiąc z surowością fizjologa, inne wcale słowo byłoby tu raczej jeszcze na miejscu...² Znamy stan chorobliwej po-

¹ David Friedrich Strauss (1808-74) – niemiecki teolog i filozof, autor książki *Das Leben Jesu* (1835-36).

² W pierwszym niemieckim wydaniu *Antychrysta*, na którym opierał się tłumacz, siostra Nietzschego Elizabeth Förster-Nietzsche wykreśliła w tym miejscu fragment: „mianowicie słowo »idiota«”.

budliwości zmysłu dotyku, który wzdraga się przed każdym dotknięciem, każdym ujęciem stałego przedmiotu. Przełożmy sobie taki fizjologiczny *habitus*¹ na jego ostateczną logikę – jako instynktowną nienawiść do każdego rzeczywistości, jako ucieczkę w „nieuchwytność”, w „niepojętość”, jako odrazę do wszelkiej formuły, wszelkiego pojęcia czasu i przestrzeni, do wszystkiego, co jest silne, obyczajem, instytucją, Kościołem, jako czucie się u siebie w świecie, którego nie tyka już żaden rodzaj rzeczywistości, w świecie jeszcze tylko „wewnętrznym”, w świecie „prawdziwym”, w świecie „wiecznym”... „Królestwo Boże jest w was”...

30.

Instynktowna nienawiść do rzeczywistości: skutek skrajnej zdolności cierpienia i pobudliwości, która w ogóle już nie chce być „dotknięta”, bo każde dotknięcie zbyt głęboko odczuwa.

Instynktowne wykluczenie wszelkiej odrazy, wszelkiej wrogości, wszelkich granic i odległości w uczuciu: skutek skrajnej zdolności cierpienia i pobudliwości, która każdy opór, każdy mus oporu odczuwa już jako nieznośną nieprzyjemność (to znaczy jako szkodliwą, jako coś, czego instynkt samozachowawczy odraża), a błogość (przyjemność) w tym tylko widzi, by nie opierać się już, nikomu już, ani nie dobremu, ni złemu – miłość jako jedyna, jako ostatnia możliwość życia...

Są to dwie fizjologiczne rzeczywistości, na których, z których wyrosła nauka o zbawieniu. Nazywam ją wzniosłym dalszym rozwojem hedonizmu na chorobliwym na wskroś podkładzie. Najbardziej pokrewny jej, chociaż z wielkim przydatkiem greckiej żywotności i siły nerwowej, jest epikureizm, pogańska nauka o zbawieniu. Epikur typowy *décadent*: przeze mnie pierwszego jako taki poznany. – Obawa bólu, nawet niezmiernie drobnego bólu – nie może zgoła skończyć się czym innym jak religią miłości...

31.

Naprzód już dałem odpowiedź swą na problemat. Założeniem jej jest, że typ Zbawiciela dochował się nam tylko w silnym zniekształceniu. Zniekształcenie to ma w sobie wiele prawdopodobieństwa: typ taki nie mógł z wielu powodów pozostać czysty, zupełny, bez dodatków. Nawet *milieu*², w którym

¹ *Habitus* (łac.) – postawa; usposobienie.

² *Milieu* (fr.) – środowisko.

ta obca poruszała się postać, musiało pozostawić na nim ślady, więcej jeszcze historia, I o s pierwszej gminy chrześcijańskiej; on, oddziaływując wstecz, wzbogacił typ rysami, które jeno ze stanowiska wojny i celów propagandy zrozumiałymi się stają. Ów dziwny i chory świat, w który wprowadzają nas Ewangelie – świat, jakby z powieści rosyjskiej, w którym wyrzutki społeczeństwa, cierpienie nerwowe i „dziecięcy” idiotyzm, zda się, schadzają sobie naznaczyły – musiał w każdym razie p o g r u b i ć typ: zwłaszcza pierwsi uczniowie przetłumaczyli istnienie, pływające całe w symbolach i nieuchwytnościach, najpierw na własną surowiznę, by w ogóle coś z tego zrozumieć – dla nich z a i s t n i a ł typ dopiero po nadaniu mu jednokształtu z formami bardziej znanymi... Prorok, mesjasz, przyszły sędzia, nauczyciel moralności, cudotwórca, Jan Chrzciciel – tyleż sposobności zaniepokojenia typu... Nie lekceważmy wreszcie *proprium*¹ wszelkiej wielkiej, mianowicie sekciarskiej czci: zaciera ona oryginalne, często dręczące obce rysy i idiosynkrazje w istocie czczonyj – nie widzi ich nawet. Można by żałować, że jakiś Dostojewski nie żył w pobliżu tego najbardziej zajmującego *décadent*, mam na myśli kogoś, który by umiał właśnie odczuwać przejmujący czar takiej mieszaniny wzniosłości, chorobliwości i dziecięctwa. Ostatni punkt widzenia: typ m ó g ł b y, jako typ *décadence*, posiadać rzeczywiście osobliwą różnorodność i sprzeczność: taka możliwość nie jest zupełnie wykluczona. Mimo to, wszystko przeciw niej przemawia: właśnie tradycja musiałaby w tym wypadku być przedziwnie wierna i przedmiotowa: czego przeciwieństwo przypuszczać mamy powody. Tymczasem przepaść sprzeczności leży między kaznodzieją na górze, na jeziorze i na łące, którego zjawisko, niby jakiegoś Buddy na bardzo mało indyjskim gruncie, jest pełne wdzięku, a owym napastliwym fanatykiem, śmiertelnym wrogiem teologów i kapłanów, którego złośliwość Renana uświetniła, jako *le grand maître en ironie*²... Ja sam nie wątpię, że obfita miara żółci (a nawet *esprit*) przelała się na typ mistrza dopiero ze wzburzonego stanu chrześcijańskiej propagandy: zna się przecież dostatecznie brak skrupułów wszystkich sekciarzy w przyrządzaniu sobie z mistrza swego swojej a p o l o g i i. Gdy pierwsza gmina zapotrzebowała sądzącego, swarzącego się, gniewnego, złośliwie przebiegłego teologa, p r z e c i w teologom, s t w o r z y ł a sobie swego „Boga” wedle swej potrzeby: tak jak bez wahania kładła mu także w usta owe zgoła nieewangeliczne pojęcia, które były jej teraz niezbędne, „powrót”, „Sąd Ostateczny”, wszelkiego rodzaju czasowe oczekiwanie i przyobiecanie. –

¹ *Proprium* (łac.) – właściwość.

² *Le grand...* (fr.) – wielki mistrz ironii.

Opieram się, by rzecz raz jeszcze, temu, by wprowadzano fanatyka do typu Zbawiciela: słowo *impérieux*¹, którego Renan używa, już samo z n o s i typ. „Dobrą nowiną” jest właśnie, że nie ma już żadnych przeciwieństw; Królestwo Niebieskie należy do d z i e c i; wiara, którą się tu głosi, nie jest wywalczoną wiarą – istnieje ona, jest od początku, jest niejako dziecięctwem, które cofnęło się w sferę duchową. Wypadek przedłużonego i nierozwiniętego w organizmie chłopiństwa, jako skutek zwyrodnienia, znany jest przynajmniej fizjologom. – Wiara taka nie gniewa się, nie gani, nie broni się: nie przynosi „miecza” – nie przeczuwa zgoła, o ile by mogła kiedyś dzielić. Nie dowodzi siebie ani cudem, ani nagrodą, ni przyobiecaniem, ani nawet Pi-smem: ona sama jest każdej chwili swym cudem, swą nagrodą, swym dowodem, swym „Królestwem Bożym”. Nie formułuje się także ta wiara – ona ż y j e, broni się przeciw formułom. Oczywiście, że przypadek otoczenia, języka, poprzedniego rozwoju wyznacza pewien zakres potrzeb: pierwsze chrześcijaństwo posiada t y l k o żydowsko-semickie pojęcia (zalicza się tutaj jedzenie i picie przy komunii, owo, jak wszystko, co żydowskie, tak bardzo nadużyte przez Kościół pojęcie). Lecz należy się strzec widzieć w tym więcej niż mowę znaków, semiotykę, sposobność do przenośni. Właśnie to, że żadnego słowa nie bierze się dosłownie, jest dla tego antyrealisty uprzednim warunkiem, by w ogóle mógł mówić. Wśród Indów byłby się posługiwał pojęciami z Sankhyam², wśród Chińczyków z Lao-tse³ – i nie byłby żadnej czuł przy tym różnicy. – Można by, z pewną tolerancją w wyrazie, nazwać Jezusa „wolnym duchem” – nic sobie nie robi z niczego, co mocne: słowo z a b i j a, wszystko co mocne, z a b i j a. Pojęcie, d o ś w i a d c z e n i e „życia”, jak on je sam zna, sprzeciwia się w nim każdego rodzaju słowu, formule, prawu, wierze, dogmatowi. Mówi on tylko o najwewnętrzniejszym: „życie” lub „prawda”, lub „światło” jest jego słowem na to, co najwewnętrzniejsze – wszystko pozostałe, cała rzeczywistość, cała przyroda, nawet mowa, ma dlań tylko wartość znaku, przenośni. Nie należy tutaj się mylić, choć wielka pokusa leży w chrześcijańskim, chcę rzec w k o ś c i e l n y m przesądzie: taka symbolika *par excellence* stoi poza obrębem wszelkiej religii, wszelkich pojęć kultu, wszelkiej historii, wszelkich nauk przyrodniczych, wszelkich doświadczeń świata, wszelkiego poznania, wszelkiej polityki, wszelkiej psy-

¹ *Impérieux* (łac.) – władczy.

² *Sankhya* – jeden z sześciu wielkich indyjskich systemów filozoficzno-religijnych.

³ *Lao-tse*, *Laozi* (VI w. p.n.e.) – chiński myśliciel i filozof, uznawany za twórcę taoizmu.

chologii, wszelkich książek, wszelkiej sztuki – jego „wiedza” jest właśnie czystą głupotą na punkcie, że istnieje coś podobnego. Kultura nie jest mu znana nawet ze słyszenia, nie potrzeba mu walki przeciw niej – on jej nie zaprzecza... To samo stosuje się do państwa, do całego obywatelskiego porządku i społeczności, do pracy, do wojny – nie miał on nigdy powodu zaprzeczać „świata”, nie przeczuwał nigdy kościelnego pojęcia „świat”... Zaprzeczenie jest dlań właśnie zgoła niemożliwością. – Tak samo brak dialektyki, brak wyobrażenia, że wiarę, „prawdę” można udowodniać argumentami (je go dowodami są wewnętrzne „światła”, wewnętrzne uczucia przyjemne i potwierdzenia siebie, same „dowody siły”). Taka nauka nie może też przeczyć, nie pojmuje ona nawet, że inne nauki istnieją, istnieć mogą, nie umie może wcale wyobrazić sobie przeciwnego sądzenia... Gdzie je napotka, będzie z najgłębszego współczucia smucić się „ślepotą” – bo ona widzi „światło” – lecz nie zrobi zarzutu...

33.

W całej psychologii Ewangelii brak pojęcia winy i kary; tak samo pojęcia nagrody. „Grzech”, każdy stosunek odległości między człowiekiem i Bogiem jest usunięty – to jest właśnie „nowina radosna”. Nie obiecuje się szczęśliwości, nie przywiązuje się jej do warunków: jest ona jedyną rzeczywistością – reszta jest znakiem do mówienia o niej...

Skutek takiego stanu przerzuca się w nową praktykę, w właściwie ewangeliczną praktykę. Nie „wiara” odróżnia chrześcijanina: chrześcijanin działa, odróżnia się innym działaniem. Że temu, który jest dlań zły, nie stawia oporu ani słowem, ani w sercu. Że nie czyni różnicy między obcym a tubylcem, między Żydem a nie-Żydem („bliźni”, właściwie współwyznawca, Żyd). Że na nikogo się nie gniewa, nikogo nie waży lekce. Że ani się w sądach nie pokazuje, ani się nie daje w nie wciągać („nie przysięgać”). Że w żadnym wypadku, nawet w razie dowiedzionej niewierności swej żony, nie rozwodzi się z żoną. – Wszystko w gruncie rzeczy jedna zasada, wszystko skutki jednego instynktu.

Życie Zbawiciela nie było odmienne od tej praktyki – śmierć jego też odmienna nie była... Nie potrzebował on już żadnych formuł, żadnego obrządku dla obcowania z Bogiem – ani nawet modlitwy. Zerwał z całą żydowską nauką pokuty i pojednania; wie on, że jedynie w praktyce życiowej czuje się człowiek „boskim”, „szczęśliwym”, „ewangelicznym”, każdego czasu „dzieckiem Boga”. Nie „pokuta”, nie „modlitwa o przebaczenie”

¹ Por. Mt 5, 34.

jest drogą do Boga: jedynie praktyka ewangeliczna wiedzie do Boga, ona właśnie jest „Bogiem”. – Co z Ewangelią odrzucone zostało, to żydostwo pojęć „grzechu”, „przebaczenia grzechu”, „wiary”, „zbawienia przez wiarę” – cała żydowska nauka kościelna zaprzeczona została w „nowinie radosnej”.

Głęboki instynkt w tym, jak się żyć musi, by się czuć „w niebie”, by się czuć „wiecznym”, podczas gdy przy każdym innym prowadzeniu życia czuje się człowiek wcale nie w niebie: to jedynie jest psychologiczną rzeczywistością „zbawienia”. – Nowy sposób postępowania, nie nowa wiara...

34.

Jeśli cokolwiek rozumiem z tego wielkiego symbolisty, to to, że tylko wewnątrzną rzeczywistość brał za rzeczywistość, za „prawdę” – że resztę, wszystko, co naturalne, czasowe, przestrzenne, historyczne, rozumiał tylko jako znak, jako sposobność do przenośni. Pojęcie „syn człowieczy” nie jest osobą konkretną, należącą do historii, czymś szczególnym, jednorazowym, lecz „wieczną” faktycznością, symbolem psychologicznym, wyzwolonym z pojęcia czasu. To samo stosuje się raz jeszcze, i w najwyższym znaczeniu, do Boga, tego typowego symbolisty, do „Królestwa Bożego”, do „Królestwa Niebieskiego”, do „synostwa boskiego”. Nie ma nic bardziej niechrześcijańskiego od kościelnych surowizn o Bogu jako o osobie, o „Królestwie Bożym”, które przyjdzie; o „Królestwie Niebieskim” za światem, o „Synu Bożym”, drugiej osobie Trójcy. Wszystko to przystaje – wybaczcie mi to wyrażenie – jak pięść do nosa. Och, do jakiego nosa – Ewangelii! Jest to wszechhistoryczny cynizm w wyszydzeniu symbolu... Lecz to jasne przecie jak na dłoni, czego dotyczą znaki „Ojciec” i „Syn” – nie na każdej dłoni, przypuszczam: słowo „Syn” wyraża wejście w uczucie wszechprzejaśnienia wszystkich rzeczy (błogość), słowo „Ojciec” to uczucie samo, uczucie wieczności i spełnienia. – Wstyd mi przypominać, co Kościół uczynił z tego symbolizmu: czyż nie umieścił na progu „wiary” chrześcijańskiej historii Amfitriona? A nadto jeszcze dogmatu o „niepokalanym poczęciu”? Ale przez to pokalał poczęcie – „Królestwo Niebieskie” jest stanem serca – nie czymś, co przyjdzie „ponad ziemią” lub „po śmierci”. Całego pojęcia śmierci naturalnej brak w Ewangelii: śmierć nie jest mostem, przejściem, brakuje jej, ponieważ przynależy do zgoła innego, tylko pozornego świata, zdatnego tylko na znaki. „Godzina śmierci” nie jest pojęciem chrześcijańskim – „godzina”, czas, życie fizyczne i jego przesilenia nie istnieją dla nauczyciela „radosnej nowiny”... „Królestwo Boże” nie jest czymś, czego się oczekuje; nie ma ono żad-

nego wczoraj ni pojutra, nie przyjdzie za „tysiąc lat” – jest ono doświadczeniem serca; istnieje wszędzie, nie istnieje nigdzie...

35.

Ten „radosny zwiastun” umarł jak żył, jak uczył – nie aby „zbawić ludzi”, lecz by pokazać, jak się żyć winno. Co pozostawił ludziom, to praktykę: swe zachowanie się wobec sędziów i siepaczy, wobec oskarżycieli i wszelkiego rodzaju oszczerstwa i szyderstwa – swoje zachowanie się na krzyżu. Nie opiera się, nie broni swego prawa, nie czyni ani kroku, by uniknąć ostateczności, więcej jeszcze, wyzywa ją... I prosi, cierpi, kocha wraz z tymi, w tych, którzy mu krzywdę czynią... Nie bronić się, nie gniewać się, nie czynić odpowiedzialnym... Lecz także nie opierać się złemu – kochać go...

36.

Dopiero my, my duchy o s w o b o d z o n e, mamy warunek po temu, by rozumieć coś, czego dziewiętnaście wieków nie rozumiało – ową w instynkt i namiętność przeistoczoną uczciwość, która „kłamstwo święte” jeszcze bardziej zwalcza niż wszelkie inne kłamstwo... Było się niewymownie oddalonym od naszej miłosnej i ostrożnej bezstronności, od owej karności ducha, która jedynie umożliwiała zgadywanie tak obcych, tak delikatnych rzeczy: chciano każdego czasu, z bezwstydnym samolubstwem, tylko swojej w tym korzyści, z przeciwieństwa do Ewangelii zbudowano Kościół...

Kto szuka znaków tego, że poza wielką grą światów jakieś ironiczne bóstwo porusza palcami, ten znajdzie wsparcie niemałe w potwornym znaku pytania, który się zwie chrześcijaństwem. Że ludzkość leży na kolanach przed przeciwieństwem tego, co było źródłem, myślą, prawem Ewangelii, że w pojęciu „Kościół” uświęciła to właśnie, co „radosny zwiastun” odczuwał jako pod sobą, jako poza sobą – daremnie szukać większej formy wszechhistorycznej ironii --

37.

Stulecie nasze jest dumne ze swego zmysłu historycznego: jak mogło uczynić sobie do wiary tę niedorzeczność, że na początku chrześcijaństwa stoi gruba bajka o cudotwórcy i Zbawicielu – a wszystko duchowe i symboliczne jest dopiero późniejszym rozwojem? Odwrotnie: dzie-

je chrześcijaństwa – a zwłaszcza od śmierci na krzyżu – są dziejami coraz grubszego stopniowo nierozumienia pierwotnego symbolizmu. Z każdym rozprzestrzenieniem chrześcijaństwa na coraz szersze, coraz surowsze masy, coraz dalsze od założeń, z których się ono urodziło, rosła potrzeba wulgaryzowania, barbaryzowania chrześcijaństwa – wchłonęło ono w siebie nauki i obrzędy wszystkich podziemnych kultów *imperium Romanum*, niedorzeczność wszystkich rodzajów chorego rozumu. Los chrześcijaństwa tkwi w konieczności, że wiara jego musiała sama stać się tak chora, niska i wulgarna, jak chore, niskie i wulgarnie były potrzeby, które zadawałać miała. Jako Kościół skupia się wreszcie samo chore barbaryństwo w potęgę – Kościół, ta forma śmiertelnej wrogości względem wszelkiej uczciwości, wszelkiej w y ż y n y duszy, wszelkiej karności ducha, wszelkiej szczerej i dobrotliwej ludzkości. – Ch r z e ś c i j a ń s k i e – d o s t o j n e wartości: dopiero my, my duchy o s w o b o d z o n e przywróciliśmy do dawnego stanu to największe przeciwieństwo wartości, jakie istnieje! – –

38.

– Nie tłumię w tym miejscu westchnienia. Są dnie, kiedy nawiedza mnie uczucie, czarniejsze niż najczarniejsza melancholia – p o g a r d a l u d z i. I aby żadnej nie zostawić wątpliwości co do tego, c z y m pogardzam, k i m pogardzam: człowiekiem dzisiejszym, człowiekiem, któremu fatalnie jestem współczesny. Człowiek dzisiejszy – dusi mnie jego oddech nieczysty... Do przeszłości odnoszę się, podobnie wszystkim poznającym, z wielką tolerancją, to znaczy z w i e l k o d u s z n y m samoprzewyciężeniem: krocę poprzez światowy dom wariatów całych stuleci, czy się on zowie „chrześcijaństwem”, „wiarą chrześcijańską”, „Kościółem chrześcijańskim”, z posępną ostrożnością – wystrzegam się czynić ludzkość odpowiedzialną za jej choroby umysłowe. Lecz uczucie me przemienia się, wybucha, skoro tylko wstępuję w czas nowszy, w n a s z czas. Nasz czas jest w i e d z ą c y... Co dawniej było tylko chore, stało się dziś nieprzyzwoite – nieprzyzwoitością jest być dziś chrześcijaninem. I t u z a c z y n a się m ó j w s t r ę t. – Oglądam się wstecz: ani słowa nie pozostało już po tym, co niegdyś „prawdą” się zwało, nie możemy już wytrzymać, gdy kapłan słowo „prawda” ma choćby tylko na ustach. Nawet przy najskromniejszej pretensji do uczciwości m u s i się dziś wiedzieć, że teolog, kapłan, papież każdym zdaniem, które wypowiada, nie tylko błędzi, lecz ł ż e – że nie może już kłamać z „niewinności”, z „nieświadomości”. I kapłan wie, tak samo jak wie każdy, że nie ma już „Boga”, „grzesznika”, „Zbawiciela” – że „wolna wola”, „moralny porządek

świata” są łgarstwem: – powaga, głębokie samoprzewycięzenie ducha nie pozwała już dziś nikomu nie wiedzieć o tym... Wszystkie pojęcia Kościoła poznano jako to, czym są, jako najgorszego rodzaju fałszerstwo monet, jakie istnieje, w celu odarcia z wartości natury, wartości naturalnych; samego kapłana poznano, jako to, czym jest, jako najniebezpieczniejszy rodzaj pasożyta, jako właściwego jadowitego pająka życia... Wiemy, nasze sumienie wie dzisiaj – co w ogóle warte są, do czego służą owe niesamowite wynalazki kapłanów i Kościoła, którymi osiągnięto ów stan samopohańbienia ludzkości, mogący wzbudzić wstręt na jej widok – pojęcia „zaświat”, „Sąd Ostateczny”, „nieśmiertelność duszy”, „dusza” sama; są to narzędzia tortur, są to systemy okrucieństwa, których mocą kapłan stał się panem, został panem... Każdy to wie: a mimo to wszystko zostaje po staremu. Gdzie podziało się ostatnie uczucie przyzwoitości, szacunku dla samego siebie, gdy nawet nasi mężowie stanu, bardzo zresztą bezprzesądny rodzaj człowieka i na wskroś antychryści czynu, zważają dziś jeszcze chrześcijanami i chodzą do komunii?... Książę¹ na czele swych pułków, wspaniały jako wyraz samolubstwa i pychy swego ludu – lecz wyznający się, bez żadnego wstydu, chrześcijaninem!... Kogóż jednak zaprzecza chrześcijaństwo? Co zwie „światem”? Że się jest żołnierzem, że się jest sędzią, że się jest patriotą; że się broni siebie; że się dba o cześć swoją; że się chce własnych korzyści; że się jest dumnym... Każda praktyka każdej chwili, każdy instynkt, każda stająca się czynem ocena wartości jest dziś przeciwnością: jakim potworem fałszu musi być człowiek nowoczesny, że się mimo to nie wstydzi zwać jeszcze chrześcijaninem! – – –

39.

– Wracam do rzeczy, opowiem istotną historię chrześcijaństwa. – Już słowo „chrześcijaństwo” jest nieporozumieniem – w gruncie istniał tylko jeden chrześcijanin i ten umarł na krzyżu. „Ewangelia” umarła na krzyżu. Co od tej chwili zwie się „Ewangelią”, było już przeciwieństwem tego, co on przeżył: „złą nowiną”, *dysangelium*. Jest to fałszywe aż do niedorzeczności, jeśli się znamię chrześcijanina widzi w „wierze”, może w wierze w zbawienie przez Chrystusa: jedynie praktyka chrześcijańska, życie takie, jakie zmarły na krzyżu przetrwał, jest chrześcijańskie... Dziś jeszcze jest takie życie możliwe, dla pewnych ludzi nawet konieczne: istot-

¹ Nietzsche ma tutaj na myśli ówczesnego pretendenta tronu, a od 1888 roku króla Prus i cesarza Niemiec Wilhelma II (1859-1941).

ne, pierwotne chrześcijaństwo będzie po wszystkie czasy możliwe... Nie wiara, lecz czynienie, przede wszystkim nie czynienie wielu rzeczy, inne bycie... Stany świadomości, jakaś wiara, jakieś uważanie czegoś za prawdę na przykład – wie to każdy psycholog – są przecie zgoła obojętne i na piątym miejscu wobec wartości instynktów: ściślej mówiąc, całe pojęcie duchowej przyczynowości jest fałszywe. To, że się jest chrześcijaninem, chrześcijańskość sprowadzać do uważania czegoś za prawdę, do czystej zjawiskowości uświadomienia, znaczy zaprzeczać chrześcijańskości. W istocie nie było żadnego chrześcijanina. „Chrześcijanin”, to co od dwóch tysiącleci zwie się „chrześcijaninem”, jest tylko psychologicznym względem siebie nieporozumieniem. Gdy przyjrzymy się dokładniej, to władną w nim, mimo wszelkiej „wiary”, tylko instynkty – i co za instynkty! – Wiara była wszech czasów, na przykład u Lutera, tylko płaszczem, pretekstem, za słoną, poza którą instynkty wiodły swą grę – roztropną ślepotą na panowanie pewnych instynktów... „Wiara” – nazwałem ją już właściwą roztropnością chrześcijańską – mówiono zawsze o „wierze”, czyniono zawsze tylko z instynktu... W świecie wyobrażeń chrześcijanina nie zdarza się nic, co by choć tylko dotykało rzeczywistości: natomiast poznaliśmy w instynktownej nienawiści, zwróconej przeciw wszelkiej rzeczywistości, pędzący, jedynie pierwiastek pędzący w korzeniu chrześcijaństwa. Co stąd wynika? Że także tu *in psychologicis* błąd jest radykalny, to jest określa istotę, jest *substancją*. Odjąć tu jedno pojęcie, dodać zamiast niego jedną rzeczywistość – a całe chrześcijaństwo stoczy się w nicość! – Widziany z wyżyny, pozostaje ten najdziwniejszy z wszystkich faktów, ta nie tylko przez błędy uwarunkowana, lecz także tylko w szkodziwych, tylko w zatruwających życie i serce błędach wynalazcza i nawet genialna religia, widowiskiem dla bogów – dla owych bóstw, które zarazem są filozofami, i z którymi spotkałem się na przykład w owych sławnych rozmowach na Naxos. W chwili, gdy opuszcza je wstręt (i nas!), stają się wdzięczne za widowisko z chrześcijanina: nędzna, mała gwiazda, która się ziemią zowie, zasługuje może jedynie gwoli temu ciekawemu wypadkowi na boskie spojrzenie, boski współudział... Nie lekceważmy bowiem chrześcijanina: chrześcijanin, fałszywy aż do niewinności, stoi o wiele wyżej od małpy – ze względu na chrześcijanina staje się znana teoria pochodzenia prostą grzecznością...

40.

– Los Ewangelii rozstrzygnął się ze śmiercią – wisiała ona na „krzyżu”... Dopiero śmierć, ta nieoczekiwana, haniebna śmierć, haniebny krzyż,

chowany na ogół tylko dla *canaille*¹ – dopiero ten grozą przejmujący paradoks postawił uczniów przed właściwym pytaniem: „Kto to był? Co to było?”. – Wstrząśnięte i do głębi obrażone uczucie, podejrzenie, że taka śmierć mogłaby być o b a l e n i e m ich sprawy, straszliwy znak pytania „dlaczego właśnie tak?” – ten stan jest aż nadto łatwy do pojęcia. Tu m u s i a ł o być wszystko konieczne, mieć myśl, rozum, najwyższy rozum; miłość ucznia nie zna przypadku. Dopiero teraz rozwarła się przepaść: „Kto go zabił? Kto był jego naturalnym wrogiem?” – pytanie to wystrzeliło jak błyskawica. Odpowiedź: panująca żydowszczyzna, jej stan najwyższy. Od chwili tej powstawano w uczuciu swym p r z e c i w porządkowi, następnie rozumiano Jezusa jako p o w s t a j ą c e g o p r z e c i w p o r z ą d k o w i. Dotąd b r a k było tego wojowniczego, tego w słowie i czynie zaprzecznego rysu w jego obrazie; co więcej rys ten był z nim sprzeczny. Widocznie mała gmina n i e widziała właśnie rzeczy głównej, wzoru danego w tego rodzaju śmierci, wolności, wyższości p o n a d wszelkie uczucie *ressentiment*: – znak to, jak mało w ogóle z niego rozumiała! Samą śmiercią swą nie mógł Jezus chcieć niczego, tylko dać jawnie najsilniejszą próbę, d o w ó d swej nauki... Ale uczniowie jego dalecy byli od tego, by tę śmierć p r z e b a c z y ć – co by było ewangeliczne w najwyższym znaczeniu; lub nawet w łagodnym i miłym spokoju serca o f i a r o w a ć się na śmierć podobną... Właśnie najmniej ewangeliczne uczucie, z e m s t a, wyłynęła na wierzch. Niemożliwe było, by sprawa zakończyła się tą śmiercią: potrzebowano „odpłaty”, „sądu” (a jednak, co może być jeszcze mniej ewangelicznego niż „odpłata”, „kara”, „sprawowanie sadu”!). Jeszcze raz wystąpiło na pierwszy plan gminne oczekiwanie Mesjasza; wlepiono oczy w chwilę historyczną: „Królestwo Boże” przyjdzie sądzić swych wrogów... Lecz tym samym wszystko jest źle zrozumiane: „Królestwo Boże” jako akt końcowy, jako obietnica! Ewangelia jednak była właśnie istnieniem, spełnieniem, r z e c z y w i s t o ś c i ą tego „królestwa”. Właśnie taka śmierć b y ł a tym „Królestwem Bożym”. Teraz dopiero wniesiono w typ mistrza całą pogardę i rozgoryczenie przeciw faryzeuszom i teologom – u c z y n i o n o z niego przez to faryzeusza i teologa! Z drugiej strony zdziçałe uwielbienie tych całkowicie ze spoidel wyrzuconych dusz nie mogło znieść dłużej owego ewangelicznego równouprawnienia każdego, by był dziecięciem Boga, jak tego uczył Jezus: zemstą ich było p o d n i e s i e n i e w sposób przesadny Jezusa, oderwanie go od siebie: tak samo, jak niegdyś Żydzi z zemsty na swych wrogach oddzielili od siebie swego Boga i podnieśli w wyżyny. Jeden Bóg i jeden Syn Boży: obaj wytwory uczucia *ressentiment*...

¹ *Canaille* (fr.) – łotr; motłoch.

41.

– I odtąd wynurzył się niedorzeczny problemat: „jak Bóg mógł do tego dopuścić!”. Zaburzony rozum małej gminy znachodzi wprost straszliwie niedorzeczną na to odpowiedź: Bóg zesłał Syna swego dla przebaczenia grzechów, jako ofiarę. Jakże od jednego razu położono kres Ewangelii! Ofiara za winy, i to w swej najwstrętniejszej, najbardziej barbarzyńskiej formie, ofiarowanie niewinnego za grzechy winnych! Co za okropna pogańszczyzna! – Przecie Jezus sam usunął pojęcie „winy” – zaprzeczył wszelkiej przepaści między Bogiem i człowiekiem, przeżywał tę jedność Boga i człowieka, jako swoją „radosną nowinę”... I nie jako przywilej! – Odtąd krok za krokiem wchodzi w typ Zbawiciela: nauka o sędzie i o powrocie, nauka o śmierci jako śmierci ofiarnej, nauka o martwych wstaniu, która sprzątnęła całe pojęcie „szczęśliwości”, całą i jedyną rzeczywistość Ewangelii – na rzecz stanu po śmierci!... Paweł wyciągnął z tego ujęcia rzeczy, z tej wszechności ujęcia rzeczy, taki wniosek z ową rabińską bezczelnością, która go cechuje pod każdym względem: „Jeśli Chrystus nie powstał z martwych, to nasza wiara jest próżna”. – I jednym zamachem stała się z Ewangelii najnikczemniejsza z wszystkich nieosiągalnych obietnic, bezwstydna nauka o osobowej nieśmiertelności... Paweł sam uczył o niej jeszcze, jako o nagrodzie!...

42.

Widzimy, co skończyło się wraz ze śmiercią na krzyżu: nowa, na wskroś oryginalna osnowa buddyjskiego ruchu pokojowego, rzeczywistego, nie tylko obiecywanego szczęścia na ziemi. Bo to jest – podniosłem to już – zasadniczą różnicą między obiema religiami *décadence*: buddyzm nie obiecuje, lecz dotrzymuje, chrześcijaństwo obiecuje wszystko, lecz nie dotrzymuje niczego. Za „radosną nowiną” szła w ślad najgorsza: Pawłowa. W Pawła wciela się typ przeciwny „radosnemu zwiastunowi”, geniusz w nienawiści, w wizji nienawiści, w nieubłaganej logice nienawiści. Czegoż nie złożył ten dysangelista nienawiści w ofierze! Przede wszystkim Zbawiciela: wbił go na swój krzyż. Życie, przykład, nauka, śmierć, myśl i prawo całej Ewangelii – nic już nie zostało, gdy ten fałszerz monet z nienawiści pojął, czego jedynie mógł potrzebować. Nie rzeczywistości, nie prawdy historycznej!... I raz jeszcze instynkt kapłański Żyda popełnił tę samą, wielką zbrodnię na historii – przekreślił po prostu wczoraj, przedwczoraj chrześcijaństwa, wynalazł sobie historię pierwszego chrześcijaństwa. Więcej jeszcze: Paweł sfalszował jeszcze raz dzieje

Izraela, by zdawały się przeddziejami jego czynu: wszyscy prorocy mówili o jego „Zbawicielu”... Kościół sfalszował potem nawet dzieje ludzkości na przeddzieje chrześcijaństwa... Typ Zbawiciela, nauka, praktyka, śmierć, myśl śmierci, nawet to, co po śmierci – nic nie pozostało nietkniętym, nic nie pozostało choćby tylko podobnym do rzeczywistości. Paweł przeniósł po prostu punkt ciężkości owego całego istnienia p o z a istnienie – w k ł a m - s t w o o „zmarłychpowstałym” Jezusie. W gruncie rzeczy całe życie Zbawiciela nie mogło mu się zdać w ogóle na nic – potrzeba mu było tylko śmierci na krzyżu i jeszcze czegoś więcej. Takiego Pawła, którego ojczyzna była stolicą stoickiego oświecenia, uważać za uczciwego, gdy z halucynacji stwarza sobie d o ó d dalszego istnienia Zbawiciela, lub choćby tylko używać wiary jego opowiadaniu, że miał tę halucynację, byłoby prawdziwą *niaiserie*¹ ze strony psychologa: Paweł chciał celu, p r z e t o chciał także środków... W co on sam nie wierzył, w to wierzyli idioci, między których on s w o j ą rzucał naukę. – J e g o potrzebą była m o c; z Pawłem chciał jeszcze raz kapłan dojść do mocy – zdać mu się mogły tylko pojęcia, nauki, symbole, którymi tyranizuje się tłumy, tworzy trzody. C z e g o jedynie zapożyczył później Mahomet od chrześcijaństwa? Wynalazku Pawła, jego środka do tyranii kapłańskiej, do tworzenia trzody: wiary w nieśmiertelność – t o j e s t n a u k i o „sądzie”...

43.

Gdy się punkt ciężkości życia przeniesie n i e w życie, lecz w „zaświat” – w n i c o ś ć – to odbiera się życiu w ogóle wagę. Wielkie kłamstwo o nieśmiertelności osobowej niszczy wszelki rozum, wszelką naturę w instynkcie – wszystko, co jest w instynktach dobroczynnego, popierającego życie, poręczającego przyszłość, budzi odtąd nieufność. T a k żyć, by nie było już żadnego s e n s u żyć, t o staje się teraz sensem życia... Po co duch obywatelski, po co jeszcze wdzięczność dla pochodzenia i przodków, po co współpracować, ufać, jakieś dobro powszechne popierać i mieć na oku?... Tyleż „pokus”, tyleż sprowadzeń z „dobrej drogi” – „j e d n e g o trzeba”... By każdy jako „dusza nieśmiertelna” był z każdym równego rzędu, by wśród ogółu wszystkich istot „zbawienie” k a ż d e j poszczególnej mogło rościć sobie prawo do wiecznej ważności, by małe mruki i w trzech czwartych narwani mogli sobie roić, że gwoli nim ustawicznie p r z e ł a m u j ą s i ę prawa przyrody – takiego spotęgowania wszelkiego rodzaju samolubstwa do nieskończoności, d o b e z w s t y d u, nie można z dostateczną napiętnować

¹ *Niaiserie* (fr.) – głupota.

pogardą. A jednak temu godnemu politowania pochlebstwu osobistej próżności zawdzięcza chrześcijaństwo swoje zwycięstwo – przekonało tym do siebie wszystko nieudane, buntowniczo nastrojone, poronione, wszystkie wyrzutki i odpadki ludzkości. „Zbawienie duszy” – po naszymu: „świat obraca się wkoło mnie”... Jad nauki „równe prawa dla wszystkich” – chrześcijaństwo rozsiewało go najgruntowniej; chrześcijaństwo z tajemnych kątów lichych instynktów zwalczało na śmierć wszelkie uczucie czci i odległości między człowiekiem a człowiekiem, to jest, w a r u n e k wszelkiego wywyższenia, wszelkiego wzrostu kultury – ukuło sobie z *ressentiment* tłumów swój główny oręż przeciw nam, przeciw wszystkiemu, co dostojne, radosne, wielkoduszne na ziemi, przeciw naszemu szczęściu na ziemi... Przyznanie „nieśmiertelności” każdemu Piotrowi i Pawłowi było dotąd największym, najgorszego gatunku zamachem na dostojną człowieczość. – I nie lekceważmy też fatalności, która z chrześcijaństwa wpłynęła aż do polityki! Nikt nie ma już dziś odwagi do praw wyjątkowych, do praw władczych, do uczucia szacunku dla siebie i dla równego sobie, do p a t o s u o d l e g ł o ś c i... Nasza polityka c h o r u j e na ten brak odwagi! – Arystokryzmu sposobu myślenia został przez kłamstwo o równości dusz najpodziemniej podkopany; i jeśli wiara w „przywilej najliczniejszych” czyni rewolucje i czynić będzie – nie wątpmy, że to chrześcijaństwo, że to c h r z e ś c i j a Ń s k i e oceny wartości, które każda rewolucja tylko na krew i zbrodnie tłumaczy! Chrześcijaństwo jest buntem wszystkiego, co pełza po ziemi, przeciw temu, co ma wyżynę: Ewangelia „małuczkich” czyni małym...

44.

– Ewangelie są nieocenione jako świadectwo niepowstrzymanego już zepsucia w obrębie pierwszej gminy. To, co Paweł później z logicznym cynizmem rabina doprowadził do końca, było mimo to tylko procesem upadku, który zaczął się ze śmiercią Zbawiciela. – Ewangelii tych nie można czytać dość bacznie: mają one swoje trudności poza każdym słowem. Wyznaję, a policzone mi to będzie za dobre, że właśnie dlatego są one dla psychologa przyjemnością pierwszorzędną – jako p r z e c i w i e Ń s t w o wszelkiego naiwnego zepsucia, jako wyrafinowanie *par excellence*, jako artyzm w psychologicznym zepsuciu. Ewangelie mówią za siebie. Biblia w ogóle nie znosi żadnego porównania. Jest się wśród Żydów: p i e r w s z y punkt widzenia, by tu nie stracić całkowicie nici. Wzniesione tu wprost do geniuszu samoudawanie „świętości”, nigdy poza tym wśród ksiązek i ludzi nawet w przybliżeniu nie osiągnięte, to fałszerstwo monet w słowach i gestach, jako s z t u k a, nie jest przypadkiem jakiejś jednostkowej zdolności, jakiejś natury wyjątko-

wej. Tu wchodzi w grę r a s a. W chrześcijaństwie, jako w sztuce świętego kłamania, dochodzi cała żydowszczyzna, kilkusetletnie żydowskie najpoważniejsze ćwiczenie i technika do ostatecznego mistrzostwa. Chrześcijanin, t a *ultima ratio*¹ kłamstwa, jest Żydem raz jeszcze – nawet t r z y k r o t n i e... Zasadnicza wola posługiwania się tylko pojęciami, symbolami, postawami, dowiedzionymi praktyką kapłana, instynktowne odpieranie wszelkiej i n - n e j praktyki, wszelkiego i n n e g o rodzaju perspektywy wartości i pożyteczności – to nie tylko tradycja, to d z i e d z i c t w o: tylko jako dziedzictwo działa to jak natura. Cała ludzkość, nawet najlepsi łepacy najlepszych czasów – (z wyjątkiem jednego, który jest może tylko nieczłowiekiem) – dali się złudzić... Czytano Ewangelię jako k s i ę g ę n i e w i n n o ś c i... nie miała wskazówka, z jakim mistrzostwem tu grano. – Oczywiście: gdybyśmy ich mogli w i d z i ć, choćby tylko w przejściu, tych wszystkich dziwnych mruków i sztucznych świętych, wszystko by było skończone – i właśnie dlatego, że j a słów nie czytamy, by też nie widzieć i gestów, k r e s i m k ł a d ę... Nie mogę w nich znieść pewnego rodzaju podnoszenia oczu. – Na szczęście dla przeważnej liczby ludzi są książki tylko l i t e r a t u r ą – Nie trzeba się dać w błąd wprowadzać: „nie sądzicie!” mówią oni, lecz posyłają do piekła wszystko, co im w drodze stoi. Każąc sądzić Bogu, sądzą sami; wychwalając Boga, wychwalają samych siebie; w y m a g a j ą c c n o t, do których właśnie są zdolni – więcej jeszcze, których potrzebują, by w ogóle pozostać u góry – nadają sobie wielki pozór walczenia o cnotę, boju o panowanie cnoty. „Żyjemy, umieramy, ofiarujemy się z a d o b r o” („prawda”, „światło”, „Królestwo Boże”): w rzeczywistości czynią, czego niechać nie mogą. Przeciskając się sposobem milczków, siedząc w kącie, żyjąc jak cienie w cieniu, czynią sobie z tego o b o w i ą z e k: z obowiązku jawi się ich życie jako pokora, jako pokora jest ono jednym więcej dowodem ich bogobojności... Ach, ten pokorny, czysty, miłosierny rodzaj obłudy! „Niech cnota sama świadczy za nas”... Czytajcie Ewangelię jako księgi uwodzicielstwa mocą m o r a l n o ś c i: ci mali ludzie wzięli w arendę moralność – wiedzą oni, jak się ma rzecz z tą moralnością! Ludzkość najlepiej w o d z i s i ę z a n o s m o r a l n o ś c i ą! – Rzeczywistością jest, że najświadomsza z a r o z u m i a ł o ś ć w y b r a n y c h gra tu rolę skromności: postawiono raz na zawsze s i e b i e, „gminę”, „dobrych i sprawiedliwych” po jednej stronie, po stronie „prawdy” – a resztę, „świat”, po drugiej... To był najfatalniejszy rodzaj manii wielkości, jaki dotąd istniał na ziemi: małe potworki mruków i kłamców zaczęły posługiwać się pojęciami „Bóg”, „prawda”, „światło”, „duch”, „miłość”, „mądrość”, „życie”, niby synonimami swymi, by odgraniczyć w przeciwieństwie do sie-

¹ *Ultima ratio* (łac.) – ostateczny środek.

bie „świat”; małe Żydki najwyższego stopnia, dojrzałe do każdego rodzaju domu wariatów, odwracały wartości w ogóle wedle siebie, jak gdyby dopiero chrześcijanin był myślą, solą, miarą, także ostatecznym sądem całej reszty... Całą tę fatalność umożliwiło jedynie to, że był już na świecie pokrewny, rasowo pokrewny rodzaj manii wielkości, żydowski: skoro raz otwarła się przepaść między Żydami a żydochrześcijanami, nie pozostało tym ostatnim nic do wyboru, tylko zastosować te same procedury samozachowania, których doradzał instynkt żydowski, przeciw samemu Żydom, podczas gdy Żydzi używali ich dotąd tylko przeciw wszystkiemu co nie żydowskie. Chrześcijanin jest tylko Żydem „w o l n i e j s z e g o” wyznania. –

45.

– Podaję kilka próbek tego, co sobie ci mali ludzie wbili w głowę, co mistrzowi swemu włożyli w usta: same wyznania „pięknych dusz”. –

„A którzykolwiek by was nie przyjęli, ani was słuchali, wyszedłszy stamtąd, otrząśnijcie proch z nóg waszych na świadectwo im; zaprawdę powiadam wam: lżej będzie Sodomie i Gomorze w Dzień Sądy, niż miastu onemu” (Marek 6, 2). – Jak e w a n g e l i c z n i e!

„A kto by zgorszył jednego z tych małych, którzy we mnie wierzą, daleko by mu lepiej było, aby był zawieszony kamień młyński u szyi jego i w morze był wrzucony” (Marek 9, 42). – Jak e w a n g e l i c z n i e!

„A jeśli cię oko twoje gorszyło, wyłup je; bo lepiej tobie jednookim wniknąć do Królestwa Bożego niżeli dwoje oczu mając, wrzuconym być do ognia piekielnego; gdzie robak ich nie umiera a ogień nie gaśnie” (Marek 9, 47). – Niekoniecznie oko ma się tu na myśli...

„Zaprawdę powiadam wam, iż są niektórzy z tych, którzy tu stoją, którzy nie ukuszą¹ śmierci, ażby ujrzeli, że Królestwo Boże przyszło w mocy” (Marek 9, 1). – Dobrze z e ł g a n e, lwie...

„Ktokolwiek chce za mną iść, niech samego siebie zaprze, a weźmie krzyż swój i naśladuje mnie, albowiem...” (Przypisek psychologa: moralność chrześcijańską zbijają jej „albo w i e m”: jej „argumenty” zbijają – tak jest po chrześcijańsku). Marek 8, 34. –

„Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni. Jaka miarą mierzycie, taką wam odmierzone będzie (Mateusz 7, 1). – Co za pojęcie o sprawiedliwości, o „sprawiedliwym” sędzi!...

„Albowiem jeśli miłujecie tych, którzy was miłują, jakąż zapłatę macie? Aż i celnicy tego nie czynią? A jeśli byście tylko braci waszych

¹ Ukuszą (przyp. tłum.).

pozdrawiali, c ó ż o s o b l i w e g o c z y n i c i e? Aż i celnicy tak nie czynią?” (Mateusz 5, 46). Zasada „chrześcijańskiej miłości”: chce mieć w końcu dobrą zapłatę...

„Ale jeśli nie odpuścicie ludziom upadków ich, i Ojciec wasz nie odpuści wam upadków waszych” (Mateusz 6, 15). – Bardzo kompromitujące dla pomienionego „Ojca”...

„Ale szukajcie naprzód Królestwa Bożego, i sprawiedliwości Jego, a to wszystko będzie wam przydane” (Mateusz 6, 33). – Takie wszystko: mianowicie żywność, odzież, wszystkie potrzeby życia. B ł ą d, wyrażając się skromnie... Krótko przedtem jawi się Bóg jako krawiec, przynajmniej w pewnych wypadkach...

„Radujcie się dnia tego i weselcie się: a l b o w i e m o t o z a p ł a t a w a s z a jest obfita w niebiesiech; boć tak właśnie czynili prorokom ojcowie ich” (Łukasz 6, 23). – B e z w ś t y d n a hołota! Porównywa się już z prorokami...

„Aż nie wiecie, iż Kościołem Bożym jesteście, a Duch Boży mieszka w was? A jeśli kto gwałci Kościół Boży, tego B ó g s k a z i, albowiem Kościół Boży święty jest, którym wy jesteście” (Paweł, *I List do Koryntian* 3, 16). – Nie ma dość pogardy dla czegoś podobnego...

„Aż nie wiecie, iż święci będą sądzili świat? A jeśli świat od was będzie sądzony, czyliście niegodni, abyście sądy mniejsze odprawiali?” (Paweł, *I List do Koryntian* 6, 2). – Niestety nie tylko mowa wariata... Ten straszliwy oszust ciągnie dosłownie: „Aż nie wiecie, że Anioły sądzić będziemy? A c ó ż t y c h d o c z e s n y c h r z e c z y !”...

„Izali w głupstwo nie obrócił Bóg mądrości świata tego! Albowiem ponieważ w mądrości Bożej świat nie poznał Boga przez mądrość, upodobało się Bogu przez głupie kazanie zbawić wierzących...; niewiele mądrych według ciała, niewiele możnych, niewiele zacnego rodu; ale co głupiego jest u świata tego, to w y b r a ł B ó g, aby zawstydził mądrych; a co mdłego u świata, wybrał Bóg, aby zawstydził mocnych. A podłego rodu u świata i wzgardzone wybrał Bóg, owszem te rzeczy, których nie masz, aby te, które są, zniszczył. Aby się nie chlubiło żadne ciało przed obliczem jego. (Paweł, *I List do Koryntian* 1, 20 i nast.). – By ustęp ten, pierwszorzędne świadectwo dla psychologii każdej moralności czandalów, z r o z u m i e ć, należy przeczytać pierwszą rozprawę mej *Genealogii moralności*: wydobyto w niej po raz pierwszy na światło przeciwieństwo moralności d o s t o j n e j, a z *resentiment* i bezsilnej zemsty zrodzonej moralności czandalów. Paweł był największym z apostołów zemsty...

– Co stąd wynika? Że dobrze się robi, nakładając rękawiczki przy czytaniu Nowego Testamentu. Bliskość tylu nieczystości zmusza prawie do tego. Nie wybralibyśmy sobie „pierwszych chrześcijan” do obcowania z sobą, nie mniej niż Żydów polskich, nie potrzebując stawiać im żadnego więcej zarzutu... I jedni, i drudzy nie bardzo pachną. – Daremnie szukałem w Nowym Testamencie choćby jednego sympatycznego rysu; nie ma tam nic wolnego, dobrotliwego, szczerego, uczciwego. Człowieczeństwo nie uczyniło tu jeszcze swego pierwszego kroku – brak instynktów *schludności*... W Nowym Testamencie są tylko *liche* instynkty, nie ma odwagi nawet do tych lichych instynktów. Wszystko jest w nim tchórzostwem, wszystko jest zezowaniem i samooszustwem. Każda książka staje się schludną, skoro się dopiero co czytało Nowy Testament: czytałem, by dać przykład, z zachwytem bezpośrednio po Pawle owego wdzięcznego, zuchwałego szydercę Petroniusza, o którym można by powiedzieć, co Domenico Boccaccio pisał do księcia Parmy o Cezarze Borgia¹: *è tutto festo*² – nieśmiertelnie zdrów, nieśmiertelnie pogodny i udany... Te małe mruki bowiem przeliczają się zawsze w głównej rzeczy. Napadają oni, lecz wszystko na co napadną, jest tym *odznaczone*. Na kogo „pierwszy chrześcijanin” napada, tego nie kala... Odwrotnie: jest chlubą mieć „pierwszych chrześcijan” przeciw sobie. Czyta się Nowy Testament nie bez szczególnego upodobania w tym, z czym się on źle obchodzi – nie mówiąc już o „mądrości tego świata”, którą bezczelny fanfaron usiłuje daremnie pohańbić „głupim kazaniem”... Lecz nawet faryzeusze i uczeni w Piśmie mają swą wyższość nad takimi przeciwnikami: musieli być już coś warci, żeby nienawidzono ich w tak nieprzyzwoity sposób. Obłuda – to byłby zarzut, który „pierwsi chrześcijanie” uczynić *śmieli*! – W końcu byli to *uprzywilejowani*: to wystarcza, moralności czandaków nie potrzeba żadnych więcej powodów. „Pierwszy chrześcijanin” – lękam się, że i „ostatni chrześcijanin”, którego może jeszcze *dożyję* – buntuje się przeciw wszystkiemu, co uprzywilejowane, z najgłębszego instynktu – żyje on, walczy zawsze za „*równę prawa*”!... Gdy przyjrzymy się dokładniej, nie ma on innego wyboru. Jeśli się chce, co do swej osoby, być „wybrańcem Bożym” – lub „świętynią Boga”, lub „sędzią Aniołów” – to

¹ Cezar Borgia (1480-1519) – syn papieża Aleksandra VI, kardynał, książę Romanii, polityk słynący z bezwzględności, usiłujący podporządkować sobie całe środkowe Włochy; posłużył N. Machiavellemu jako wzór idealnego, cynicznego władcy w słynnym traktacie *Książę*.

² *È tutto festo* (wł.) – jest cały świętem.

każda inna zasada wybrania, na przykład wedle uczciwości, wedle ducha, wedle męskości i dumy, wedle piękności i wolności serca, po prostu „świat” – jest złem samym w sobie... Morał: każde słowo w ustach pierwszego chrześcijanina jest kłamstwem, każdy czyn, który spełnia, fałszerstwem z instynktu – wszystkie jego wartości, wszystkie jego cele są szkodliwe, lecz ten, którego on nienawidzi, lecz to, czego on nienawidzi, ma wartość... Chrześcijanin, zwłaszcza kapłan-chrześcijanin, jest kryterium wartości. – Mamże rzec jeszcze, że w całym Nowym Testamencie występuje tylko jedna jedyna postać, którą się czcić musi? Piłat, namiestnik rzymski. Brać poważnie zwadę żydowską – do tego on się nie skłania. O jednego Żyda więcej lub mniej – cóż na tym zależy?... Dostojne szyderstwo Rzymianina, przed którym dopuszczano się bezwstydnego nadużycia słowa „prawda”, wzbogaciło Nowy Testament jedynym słowem, które ma wartość, które jest jego krytyką, samym jego zniszczeniem: „Cóż jest prawda!”...

47.

– Nie to nas oddziela, że nie odnajdujemy Boga ani w dziejach, ani w przyrodzie, ani poza przyrodą – lecz że tego, co jako Bóg czczone było, nie odczuwamy jako „boskie”, lecz jako politowania godne, jako niedorzeczne, jako szkodliwe, nie tylko jako błąd, lecz jako zbrodnię względem życia... Zaprzeczamy Boga jako Boga... Gdyby nam tego Boga chrześcijan udowodniło, umielibyśmy jeszcze mniej w niego wierzyć. – W formule: *deus qualem Paulus creavit, dei negatio*¹. – Religia, jak chrześcijaństwo, która w żadnym punkcie nie styka się z rzeczywistością, która natychmiast upada, skoro rzeczywistość choćby tylko na jednym punkcie dojdzie do prawa, musi słusznie być śmiertelnym wrogiem „mądrości świata”, to znaczy wiedy – uzna ona za dobre wszystkie środki, które mogą zatruć, oczernić, osławić karność ducha, czystość i surowość w rzeczach duchowego sumienia, dostojny chłód i wolność ducha. „Wiara” jako imperatyw to *veto* przeciwko wiedzy – *in praxi* kłamstwo za wszelką cenę... Paweł pojął, że kłamstwo – że „wiara” jest potrzebna: Kościół pojął znów później Pawła. – Ów „Bóg”, którego wynalazł sobie Paweł, Bóg, który „pohańbia” „mądrość świata” (w ciaśniejszym znaczeniu obie wielkie przeciwniczki wszelkiego zabobonu, filozofię i medycynę), jest naprawdę tylko rezolutnym postanowieniem samego Pawła: nazywać „Bogiem” swoją własną

¹ *Deus qualem Paulus creavit, dei negatio* (łac.) – Bóg, którego stworzył Paweł, jest zaprzeczeniem Boga.

wolę: *thora*, to jest prażydowskie. Paweł chce pohańbić „mądrość świata”: jego wrogami są d o b r z y filologowie i lekarze z wykształceniem aleksandryjskim – z nimi wiedzie wojnę. W samej rzeczy, nie jest się filologiem i lekarzem, nie będąc też zarazem a n t y c h r y s t e m. Jako filolog bowiem zagłada człowiek p o z a książki, jako lekarz p o z a fizjologiczne zdechlactwa typowego chrześcijanina. Lekarz mówi „nieuleczalne”, filolog „oszustwo”...

48.

– Zrozumianoż właściwie sławną historię, umieszczoną na początku Biblii – o piekielnej trwodze Boga przed w i e d z ą?... Nie zrozumiano jej. Ta księga kapłańska *par excellence* zaczyna się, jak słuszna, wielką wewnętrzną trudnością kapłana: o n z n a tylko jedno wielkie niebezpieczeństwo, p r z e t o z n a „Bóg” tylko jedno wielkie niebezpieczeństwo.

Stary Bóg, zupełny „duch”, zupełny arcykapłan, zupełna doskonałość, przechadza się w swym ogrodzie: tylko że się nudzi. Przeciwno nudzie nawet bogowie walczyli daremnie. – Cóż czyni? Wynachodzi człowieka – człowiek jest zabawny... Lecz oto patrzaj, i człowiek się nudzi. Zlitowanie Boga dla jedynej niedoli, którą mają wszystkie raje w sobie, nie zna granic: stworzył on inne jeszcze zwierzęta. P i e r w s z y błąd Boga: człowiek nie znalazł zwierząt zabawnymi – panował nad nimi, nie chciał się nawet zwać „zwierzęciem”. – Przeto stworzył Bóg kobietę. I rzeczywiście, teraz skończyła się nuda – lecz także jeszcze coś innego! Kobieta była d r u g i m błędem Boga. – „Kobieta jest wedle istoty swej węzłem, Heva” – wie to każdy kapłan: „od kobiety pochodzi w s z e l k i e zło na świecie” – to wie również każdy kapłan. „Przeto pochodzi od niej też w i e d z a”... Dopiero dzięki kobiecie nauczył się człowiek pożywać z drzewa świadomości. – Cóż się stało? Starego Boga porwała trwoga piekielna. Człowiek sam stał się n a j w i ę k s z y m jego błędem, Bóg stworzył sobie rywala, wiedza czyni B o g u p o d o b n y m – kres kapłanom i bogom, jeśli człowiek naukowym się stanie! – M o r a ł: wiedza jest tym, co zabronione samo w sobie – ona jedynie jest zabroniona. Wiedza jest p i e r w s z y m grzechem, ziarnem wszech grzechów, grzechem p i e r w o r o d n y m. T o j e d y n i e j e s t m o r a ł e m. – „Nie powinienes poznawać” – reszta wynika z tego. – Trwoga piekielna nie przeszkodziła Bogu być mądrym. Jak trzeba się b r o n i ć, przeciw wiedzy? To stało się na długo jego głównym problemem. Odpowiedź: precz z człowiekiem z raj! Szczęście, bezczynność naprowadza myśli – wszystkie myśli są złymi myślami... Człowiek nie p o w i n i e n myśleć. – I „kapłan sam w sobie” wynajduje niedolę, śmierć, życiowe niebezpieczeństwo cięży, wszelkiego rodzaju nędzę, starość, c h o r o b ę przede wszystkim – same środki

do walki z wiedzą! Niedola nie p o z w a l a człowiekowi myśleć... A mimo to! Okropność! Dzieło poznania piętrzy się, szturmując do nieba, rzucając zmierzch na bogów – co czynić! – Stary Bóg wynachodzi w o j n ę, dzieli ludy, sprawia, że ludzie niszczą się wzajemnie (kapłani zawsze potrzebowali wojny...). Wojna – między innymi wielki wichrzyciel wiedzy! – Nie do wiary! Poznanie, e m a n c y p a c j a s p o d w ł a d z y k a p ł a n ó w, rośnie nawet mimo wojny. – I ostatnie postanowienie przychodzi staremu Bogu: „człowiek stał się naukowy – nic nie pomoże, trzeba go u t o p i ć!”...

49.

– Zrozumieliście mnie. Początek Biblii zawiera c a ł ą psychologię kapłana. – Kapłan zna tylko jedno wielkie niebezpieczeństwo: jest nim wiedza – zdrowe pojęcie przyczyny i skutku. Jednak wiedza rozkwita w całości tylko w szczęśliwych stosunkach – trzeba mieć czasu, trzeba mieć ducha d o z b y t k u, by „poznawać”... „P r z e t o trzeba uczynić człowieka nieszczęśliwym” – taka była każdego czasu logika kapłana. – Łatwo już zgadnąć, c o zatem dopiero, wedle tej logiki, na świat przyszło: – „grzech”... Pojęcie winy i kary, cały „moralny porządek świata” wynaleziono p r z e c i w k o wiedzy – p r z e c i w k o wyzwoleniu człowieka od kapłana... Człowiek n i e powinien na zewnątrz, powinien w sobie patrzeć, nie powinien mądrze i ostrożnie, jako uczący się, patrzeć w rzeczy, powinien w ogóle wcale nie widzieć: powinien c i e r p i e ć... A powinien cierpieć, by każdego czasu potrzebował kapłana. – Precz z lekarzami! P o t r z e b a z b a w i c i e l a. – Pojęcie winy i kary, wraz z nauką o „łasce”, o „zbawieniu”, o „przebaczeniu” – k ł a m s t w a na wskroś i pozbawione wszelkiej rzeczywistości psychologicznej – zostały wynalezione, by zburzyć z m y s ł p r z y c z y n o w y człowieka: są one zamachem na pojęcie przyczyny i skutku! – I nie zamachem z pomocą pięści, noża, rzetelnej nienawiści i miłości! Lecz z głębi najtchórzliwszych, najchytrzejszych, najniższych instynktów! Zamachem k a p ł a Ń s k i m! Zamachem p a s o ż y t ó w! Wampiryzmem bladych podziemnych wysysaczy krwi!... Skoro naturalne skutki czynu nie są już „naturalne”, jeno uchodzą za zdziałane przez pojęciowe widma zabobonu, przez „Boga”, przez „duchy”, przez „duszę”, jako czysto „moralne” konsekwencje, jako nagroda, kara, znak, środek wychowawczy, to zburzono założenie poznania – p o p e ł n i o n o n a j w i ę k s z ą z b r o d n i ę w z g l ę d e m l u d z k o ś c i. – Grzech, jeszcze raz mówiąc, ta forma samopohańbienia człowieka *par excellence*, został wynaleziony, by uniemożliwić wiedzę, kulturę, wszelkie wywyższenie i dostojność człowieka; kapłan p a n u j e dzięki wynalazkowi grzechu. –

48

– Nie pomijam na tym miejscu psychologii „wiary”, „wierzących”, ku pożytkowi, jak słuszna, właśnie „wierzących”. Jeśli dziś jeszcze nie brak takich, którzy nie wiedzą, jak dalece nie przyzwoitoscia jest być „wierzącym” – lub oznaką *décadence*, złamanej woli życia – to jutro będą to już wiedzieć. Głos mój dosięgnie i tępych słuchów. – Zda się, jeśli mi się nie przestyszało, że istnieje wśród chrześcijan pewnego rodzaju kryterium prawdy, które się zowie „dowodem siły”. „Wiara uszczęśliwia, więc jest prawdziwa”. Wolno by tu najpierw zrobić zarzut, że właśnie uszczęśliwianie nie jest dowiedzione, lecz tylko przzybicanie: szczęśliwość przywiązana do warunku „wiary” – powinno się być szczęśliwym, ponieważ się wierzy... Lecz, że rzeczywiście nastąpi, co kapłan obiecuje wierzącemu w nieprzystępnym żadnej kontroli „zaświecie”, czym tego dowieść? – Mniemany „dowód siły” jest więc w gruncie znów tylko wiarą w to, że nie chybi skutek, który sobie człowiek po wierze obiecuje. W formule: „wierzę, że wiara uszczęśliwia – przeto jest prawdziwa”. – Lecz wraz z tym jesteśmy już u kresu. To „przeto” byłoby istotnym *absurdum* jako kryterium prawdy. – Przypuśćmy jednak, z pewną ustępliwością, że uszczęśliwianie dowiedzione jest przez wiarę (nie tylko pożądane, nie tylko przyrzeczone przez nieco podejrzaną usta kapłana): byłabyby szczęśliwość, mówiąc techniczniej, przyjemość – kiedykolwiek dowodem prawdy? Tak mało, że jest to nieledwo przeciwdowodem, w każdym razie najwyższym podejrzeniem względem prawdy, jeżeli uczucia przyjemne wtrącają swój głos do pytania „co jest prawdziwe?” Dowód przyjemności jest dowodem „przujemości” – nic więcej; skądże u diaska pewność, że właśnie prawdziwe sądy sprawiają większą przyjemność niż fałszywe i że, wedle harmonii przedustawnej, pociągają za sobą koniecznie przyjemne uczucia? – Doświadczenie wszystkich surowych, wszystkich głębokich duchów uczy przeciwnie. Musiano zdobywać na sobie każdą piędź prawdy, musiano prawie wszystko w zamian poświęcić, do czego dawniej lgnęło nasze serce, nasza miłość, nasze zaufanie do życia. Wielkości duszy na to trzeba: służenie prawdzie jest najtwardszą służbą. – Cóż bo znaczy być rzetelnym w rzeczach ducha? Że się jest surowym względem serca swego, że się w pogardzie ma piękne uczucia, że się z każdego „tak” i „nie” czyni sprawę sumienia! – Wiara uszczęśliwia: przeto łże...

Że wiara czasem uszczęśliwia, że szczęśliwość z pewnej *idée fixe* nie czyni jeszcze *prawdziej* idei, że wiara gór nie przenosi, lecz owszem *góry osadza tam*, gdzie żadnych nie ma: o tym poucza nas przelotne przejście się przez *dom wariatów*. Oczywiście *nie* kapłana: on bowiem przeczy z instynktu, że choroba jest chorobą, dom wariatów domem wariatów. Chrześcijaństwo *potrzebuje* choroby, nieledwo jak hellenizm potrzebuje nadwyżki zdrowia – *czyń* chorym jest właściwym ukrytym zamiarem całego systemu procedur leczniczych Kościoła. A sam Kościół – nie jestże to katolicki dom wariatów jako ostateczny ideał? – Ziemia w ogóle jako dom wariatów? – Człowiek religijny, jak *go chce* Kościół, to typowy *décadent*; czas, w którym przesilenie religijne opanowuje jakiś lud, cechują *każdym razem* epidemie nerwowe; „świat wewnętrzny” człowieka religijnego jest do złudzenia podobny do „świata wewnętrznego” przeczulonych i wyczerpanych; „najwyższe” stany, które chrześcijaństwo zawiesiło nad ludzkością jako wartość nad wartościami, są formami epileptoidalnymi – Kościół uświęcał tylko obłąkanych *lub oszustów in maiorem dei gloriam*¹. Pozwiliem sobie raz określić cały chrześcijański *training* pokuty i zbawienia (który dziś w Anglii najlepiej studiować można), jako metodycznie wytwarzaną *folie circulaire*², jak słuszna, na przygotowanym już do tego, to jest do dna chorobliwym gruncie. Nikomu nie jest pozostawione do woli być chrześcijaninem: na chrześcijaństwo nie zostaje się „nawróconym” – trzeba być dostatecznie na to chorym... My inni, którzy mamy *odwagę* do zdrowia i także do pogardy, jakże byśmy byli *my* uprawnieni do pogardzania religią, która uczy tak źle rozumieć ciało! Która nie chce się wyzbyć zabobonu duszy! Która z niedostatecznego odżywiania robi „zastugę”! Która w zdrowiu zwalcza pewnego rodzaju wroga, diabła, pokusę! Która wmówiła w siebie, że można „doskonałą duszę” obnosić w trupim ciele i musiała na to przyrzędzić sobie nowe pojęcie „doskonałości”, błądą, chorowitą, idiotycznie marzycielską istotą, tak zwaną „świętość” – świętość, która sama jest tylko szeregiem objawów zubożałego, zdenerwowanego, nieuleczalnie zepsutego ciała!... Ruch chrześcijański, jako ruch europejski, jest od samego początku *zbiorowym* ruchem wyrzutek i odpadkowych pierwiastków wszelkiego rodzaju (chcą one przez chrześcijaństwo dojść do władzy). *Nie* wyraża on upadku rasy, jest on skupieniem stłaczających się i szukających się form *décadence*

¹ *In maiorem dei gloriam* (łac.) – ku większej chwale Boga.

² *Folie circulaire* (fr.) – dosłownie: nawracające szaleństwo; dawne określenie psychozy maniakalno-depresyjnej.

zawsząd. To nie zepsucie, jak się mniema, samej starożytności, d o s t o j -
nej starożytności, umożliwiło chrześcijaństwo: nie można się dość twardo
sprzeciwić uczoneму idiotyzmowi, który i dziś jeszcze coś podobnego utrzy-
muje. W czasie, gdy chore, zepsute warstwy czandalów chryścianizowały się
w całym *imperium*, istniał właśnie t y p p r z e c i w n y, dostojność, w swej
najpiękniejszej i najdojrzałszej postaci. Wielka liczba stała się panem; de-
mokratyzm instynktów chrześcijańskich z w y c i ę ż a ł... Chrześcijaństwo nie
było „narodowe”, nie uwarunkowane rasą – zwracało się do wszelkiego ro-
dzaju wydziedziczonych w życiu, miało wszędzie swych sprzymierzeńców.
Chrześcijaństwo zwróciło *rancune*¹ gruntownie chorych, instynkt, p r z e -
ciwko zdrowym, p r z e c i w k o zdrowiu. Wszystko pomyślnie udane,
dumne, zuchwałe, piękność przede wszystkim kłuła je w uszy i w oczy. Raz
jeszcze przypominam nieocenione słowa Pawła: „Co m d ł e jest u świata,
co g ł u p i e jest u świata, a p o d ł e g o r o d u u świata i w z g a r d z o n e,
wybrał Bóg”: to była formuła, *in hoc signo*² zwyciężyła *décadence*. –
Bóg na krzyżu – nie rozumieciez ciągle jeszcze straszliwości ukrytej
myśli tego symbolu? – Wszystko, co cierpi, wszystko, co wisi na krzyżu, jest
b o s k i e... My wszyscy wisimy na krzyżu, przeto m y jesteśmy bosc... My
jedynie jesteśmy bosc... Chrześcijaństwo było zwycięstwem, zginął przez
nie d o s t o j n i e j s z y sposób myślenia – chrześcijaństwo było dotąd naj-
większym nieszczęściem ludzkości. – –

52.

Chrześcijaństwo stoi też na stanowisku przeciwnym wszelkiej d u c h o -
wej udaności – m o ż e potrzebować, jako rozumu chrześcijańskiego, tylko
chorego rozumu, staje po stronie wszystkiego co idiotyczne, wygłasza kł-
twę przeciw „duchowi”, przeciwko *superbia*³ zdrowego ducha. Ponieważ choro-
ba jest właściwa istocie chrześcijaństwa, m u s i stan typowo chrześcijański,
„wiara”, być formą choroby, m u s z ą wszystkie proste, rzetelne, naukowe
drogi do poznania być uchylone przez Kościół jako drogi z a k a z a n e. Wąt-
pliwość już jest grzechem... Zupełny brak psychologicznej schludności
u kapłana – zdradzający się w spojrzeniu – jest zjawiskiem s k u t k u *déca-
dence* – należy obserwować historyczne niewiasty oraz dzieci o rachitycz-
nych zadatkach co do tego, jak prawidłowo fałszywość z instynktu, rozkosz
z kłamstwa dla kłamstwa, niezdolność do prostych spojrzeń i kroków jest

¹ *Rancune* (fr.) – uraza.

² *In hoc signo* (łac.) – pod tym znakiem.

³ *Superbia* (łac.) – pycha, hardość.

wyrazem *décadence*. „Wiarą” zwie się: nie chcąc wiedzieć co jest prawdą. Pobożny, kapłan obojga płci, jest fałszywy, ponieważ jest chory: instynkt jego żąda, by prawda nigdy nie miała słuszności. „Co czyni chorym, jest dobre; co pochodzi z pełni, z nadmiaru, z mocy, jest złe”: tak odczuwa wierzący. Nie wolność kłamstwa – po tym odgaduję każdego urodzonego teologa. – Inną odznaką teologa jest jego niezdolność do filologii. Przez filologię rozumiemy tu, w bardzo ogólnym znaczeniu, sztukę dobrego czytania – umiejętność odczytywania faktów, bez fałszowania ich interpretacją, nie tracąc w pożądanym zrozumieniu ostrożności, cierpliwości, subtelności. Filologia jako *ephexis*¹ w interpretacji: czy to chodzi o książki, o nowiny dziennikarskie, o losy lub fakty, dotyczące pogody – nie mówiąc już o „zbawieniu duszy”... Sposób, w jaki teolog, obojętne czy w Berlinie, czy w Rzymie, wyklada „słowo Pisma” lub jakieś zdarzenie, zwycięstwo wojsk ojczystych na przykład w wyższym świetle Psalmów Dawidowych, jest zawsze tak śmiały, że filolog przy tym skacze do sufitu. A cóż dopiero ma robić, gdy pobożnisie i inne krowy ze Szwabii przyrządzają sobie przy pomocy palca Bożego ze swej mizernej codzienności i z izdebnego zaduchu swego istnienia cud „łaski”, „opatrzności”, „zbawiennych doświadczeń”! Najmniejszy nakład ducha, by nie rzec przyzwolności, musiałby przecie doprowadzić tych interpretatorów do przekonania się o zupełnym dzieciństwie i niegodności takiego nadużywania boskiej biegłości palcowej. Nawet przy bardzo małej mierze bogobojności Bóg taki, który w samą porę leczy z kataru, który nam każe wsiąść w karetę w chwili, gdy właśnie spada ulewa, winien by być dla nas tak niedorzecznym Bogiem, żebyśmy musieli go usunąć, nawet gdyby istniał. Bóg jako posługacz, jako listonosz, jako przestrzegacz kalendarza – jest właśnie wyrazem na najgłupszy rodzaj wszelkich przypadków... „Opatrzność boska”, w jaką dziś jeszcze wierzy prawie co trzeci człowiek w „wykształconych Niemczech”, byłaby takim zarzutem przeciw Bogu, że silniejszego pomyśleć by sobie nie można. A jest w każdym razie zarzutem przeciw Niemcom!...

53.

– Że męczennicy są jakimś dowodem prawdy pewnej sprawy, jest tak mało prawdą, że bym przeczył, iż męczennik jakiś miał w ogóle kiedykolwiek coś z prawdą do czynienia. W tonie, w którym męczennik w łeb światu ciska swe uważanie czegoś za prawdę, wyraża się już tak niski stopień uczciwości intelektualnej, taka tępotna zagadnienie „prawdy”, że męczenni-

¹⁰ *Ephexis* (gr.) – sceptycyzm.

ka nigdy zbijać nie trzeba. Prawda nie jest czymś, co jeden posiada, a czego inny nie posiada, tak myśleć o prawdzie mogą co najwyżej chłopi lub apostołowie chłopski w rodzaju Lutra. Można być pewnym, że stosownie do stopnia sumiennosci w rzeczach ducha rośnie zawsze skromność na tym punkcie, p o p r z e s t a w a n i e. Kilka rzeczy w i e d z i e ć i delikatną ręką odsunąć wiedzenie p o n a d t o... „Prawda”, jak słowo to rozumie każdy prorok, każdy sekciarz, każdy wolnomyślny, każdy socjalista, każdy członek Kościoła, jest doskonałym dowodem, że nie uczyniono nawet choćby tylko pierwszego kroku na drodze owej karności ducha i samoprzewyciężenia, które potrzebne są do znalezienia małej, nawet najmniejszej prawdy. – Śmierci męczeńskie, mówiąc dodatkowo, były wielkim nieszczęściem w dziejach: u w o d z i ł y... Wniosek idiotów, wliczając tu kobietę i tłum, że pewna sprawa, dla której ktoś na śmierć idzie (lub która nawet, jak pierwsze chrześcijaństwo, wytwarza epidemie żądzy śmierci), ma jakieś znaczenie – wniosek ten stał się dla badacza, dla ducha badania i ostrożności niezmiernym hamulcem. Męczennicy s z k o d z i ł i prawdzie... I dziś jeszcze potrzeba tylko surowości prześladowania, by najobojętniejszemu w sobie sekciarstwu wytworzyć z a s z c z y t n e imię. – Jak to? Czy zmienia to wartość jakiej rzeczy, że ktoś za nią swe życie oddaje? – Błąd, który zaszczytnym się staje, jest błędem posiadającym o jeden urok uwodny więcej: sędzicież, panowie teologowie, że damy wam sposobność grać rolę męczenników za wasze kłamstwo? – Zbija się sprawę, pozwalając jej z szacunkiem osiąść na lodzie – tak samo zbija się też teologów... To właśnie było wszechhistoryczną głupotą wszystkich prześladowców, że nadawali przeciwnej sprawie pozór zaszczytności – że dawali jej w darze czar męczeństwa... Kobieta klęczy dziś jeszcze przed błędem, gdyż powiedziano jej, że ktoś zań umarł na krzyżu. J e s t z e k r z y ż a r g u m e n t e m? – – Lecz o wszystkich tych rzeczach ktoś jedyny rzekł słowo, którego potrzeba było od stuleci – Z a r a t u s t r a.

Krwawe znaki wypisali na drodze, po której szli, a ich szaleństwo uczyło, że krwią dowodzi się prawdy.

Lecz krew jest najgorszym świadkiem prawdy; krew zatruwa najczystsza nawet naukę, czyniąc z niej obłąd i nienawiść serc.

A choćby kto przez ogień przeszedł dla nauki swojej – czegoż to dowodzi! Zaprawdę, więcej to, gdy własna nauka z własnego rodzi się żaru. (*Zaratustra* str. 123, 124)¹.

¹ Por. „O kapłanach”, w: *Tako rzecze Zaratustra*, cz. 2, tłum. W. Berent, Poznań 1995, str. 82.

Nie należy dawać się w błąd wprowadzać: wielkie duchy są sceptyczne. Zaratustra jest sceptykiem. Siła, w o l n o ś ć z siły i nadsiły ducha d o w o - d z i się sceptycyzmem. Ludzi przekonania nie bierze się w rachubę w żadnych zasadniczych sprawach wartości i bezwartości. Przekonania to więzienia. Nie patrzy to dość daleko, nie patrzy p o d siebie: lecz aby móc zabierać głos w sprawie wartości i niewartości, trzeba pięćset przekonań p o d sobą widzieć – z a sobą widzieć... Duch, który chce czegoś wielkiego, który chce i środków do tego, jest z konieczności sceptykiem. Wolność od wszelkiego rodzaju przekonań jest w ł a ś c i w a s i l e, m o ż n o ś ć swobodnego patrzenia... Wielka namiętność, podstawa i moc jego bytu, jeszcze bardziej oświecona, jeszcze despotyczniejsza niż on sam, zabiera w służbę cały jego intelekt; wznosi ponad skrupuły; daje mu odwagę nawet do nieświętych środków; u ż y - c z a mu w pewnych razach przekonań. Przekonanie jako ś r o d e k: wiele osiąga się tylko z pomocą przekonania. Wielka namiętność używa przekonań, zużywa je, nie poddaje się im – czuje się samowładna. – Odwrotnie: potrzeba wiary, jakiegoś bezwzględnego „tak” lub „nie”, carlyleizm, jeśli to słowo znajdzie pobłażanie, jest potrzebą s ł a b o ś c i. Człowiek wierzący, „wyznawca” wszelkiego rodzaju jest z konieczności człowiekiem zależnym – takim, który nie umie s i e b i e za cel postawić, który sam z siebie w ogóle celów stawiać nie umie. „Wierzący” nie jest s w o j ą własnością, może być tylko środkiem, musi zostać z u ż y t y, potrzebuje kogoś, kto go zużywa. Instynkt jego oddaje moralności wyzucia się z samego siebie cześć najwyższą: wszystko nakłania go do niej, jego roztropność, jego doświadczenie, jego próżność. Każdy rodzaj wiary jest sam wyrazem wyzucia się z siebie, zubożnienia na siebie... Jeśli się zważy, jak konieczny jest większości ludzi regulatyw, który ich z zewnątrz wiąże i utwierdza, jak mus, w wyższym znaczeniu n i e w o l n i c z o ś c i, jest jedynym i ostatecznym warunkiem, pod którym rozwija się człowiek słabszej woli, zwłaszcza kobieta: to zrozumiemy też przekonanie, „wiarę”. Jest ona dla człowieka o przekonaniach kręgosłupem. N i e widzieć wielu rzeczy, być na każdym punkcie skrępowanym, być na wskroś partią, mieć ścisłą i konieczną optykę w stosunku do wszystkich wartości – to jedynie jest warunkiem istnienia w ogóle takiego rodzaju człowieka. Lecz tym samym jest on przeciwieństwem, a n t a g o n i s t ą prawdziwego – prawdy... Wierzącemu nie dano do woli brać w ogóle sumiennie zagadnienie „prawdy” i „nieprawdy”: być uczciwym na t y m punkcie, to by sprowadziło natychmiast jego upadek. Patologiczna warunkowość jego optyki czyni z przekonanego fanatyka – Savonaroli, Lutra, Rousseau, Robespierre’a, Saint-Simona – przeciwny typ silnego o s w o b o d z o n e g o ducha.

Lecz wielka postawa tych chorych duchów, tych epileptyków pojęciowych, działa na wielkie tłumy – fanatycy są malowniczy, ludzkość patrzy na gesty chętniej niż słucha argumentów...

55.

– Dalszy krok w psychologii przekonania, „wiary”. Dawno już poleciłem rozważyć, czy przekonania nie są niebezpieczniejszymi wrogami prawdy niż kłamstwa (*Ludzkie, arcyłudzkie I*, aforyzmy 54 i 483). Tym razem chciałbym zadać rozstrzygające pytanie: czy między kłamstwem a przekonaniem istnieje w ogóle przeciwieństwo? – Cały świat w to wierzy; lecz w cóż nie wierzy świat cały! – Każde przekonanie ma swoje dzieje, swoje poprzednie kształty, swoje zakusy i chybiaenia: staje się ono przekonaniem, nie będąc przedtem nim długo, jeszcze dłużej będąc nim zaledwie. Jak to? Nie mogło między tymi embrionalnymi formami przekonania być także kłamstwo? – Czasem potrzeba tylko zmiany osoby: w synu staje się przekonaniem, co w ojcu jeszcze kłamstwem było. – Zwę kłamem chcieć nie widzieć czegoś, co się widzi, chcieć nie tak widzieć coś, jak się widzi: czy kłamstwo dzieje się wobec świadków czy bez świadków, to nie wchodzi w rachubę. Najwykleszym kłamstwem jest to, którym okłamujemy siebie samych; okłamywanie drugich jest względnie wypadkiem wyjątkowym. Otóż ta chęć nie widzenia czegoś, co się widzi, ta chęć widzenia czegoś nie tak, jak się widzi, jest nieledwo pierwszym warunkiem wszystkich, którzy są partią, w jakimkolwiek znaczeniu: człowiek partyjny staje się z konieczności kłamcą. Niemieckie dziejopisarstwo na przykład jest przekonane, że Rzym był despotyzmem, że Germanie przynieśli na świat ducha wolności: jakaż różnica między tym przekonaniem a kłamstwem? Możnaż się jeszcze temu dziwić, gdy z instynktu wszystkie partie, także historycy niemieccy, mają na ustach wielkie słowa moralności – iż moralność nieledwo przez to trwa, że człowiek partyjny wszelkiego rodzaju potrzebuje jej każdej chwili? – „To jest naszym przekonaniem: wyznajemy je przed całym światem, żyjemy dla niego i umrzemy za nie – czołem przed wszystkim, co ma przekonania!” – Coś podobnego słyszałem nawet z ust antysemitów. Przeciwnie, moi panowie! Antysemita nie jest zgoła przez to przyzwoitszy, że kłamie z zasady... Kapłani, którzy są w takich sprawach subtelniejsi i bardzo dobrze rozumieją zarzut leżący w pojęciu przekonania, to znacząco zasadniczej, ponieważ celowi służącej kłamliwości, odziedziczyli po Żydach roztropność wpisania natomiast pojęcia „Boga”, „woli Bożej”, „objawienia Bożego”. Także Kant, z swym kategorycznym imperatywem, był na tej samej drodze: rozum jego stał się tu praktyczny. – Istnieją zagadnienia, w których roz-

strzyganie o prawdzie i nieprawdziwości człowiekowi nie przysługują; wszystkie najwyższe zagadnienia, wszystkie najwyższe problemy wartości są poza ludzkim rozumem... Pojąć granice rozumu – to dopiero prawdziwie filozofia... Po co dał Bóg człowiekowi objawienie? Czyżby Bóg uczynił coś zbędnego? Człowiek nie może wiedzieć sam z siebie, co jest dobre i złe, przeto nauczył go Bóg o swej woli... Morał: kapłan nie kłamie; pytań „prawda” lub „nieprawda” nie ma w takich rzeczach, o których mówią kapłani; rzeczy te nie pozwalają zgoła kłamać. Bo aby kłamać, trzeba by móc rozstrzygać, co tu jest prawdą. Lecz tego nie może właśnie człowiek; kapłan jest zatem narzędziem głosu Boga. – Taki sylogizm kapłański nie jest zgoła tylko żydowski i chrześcijański; prawo do kłamstwa i roztrąpaność „objawienia” jest właściwa typowi kapłana, tak samo kapłanom *décadence* jak kapłanom pogaństwa (poganami są wszyscy, którzy potakują życiu, dla których „Bóg” jest wyrazem na wielkie „Tak”, potwierdzające wszystkie rzeczy). – „Prawo”, „wola Boża”, „księga święta”, „natchnienie” – wszystko tylko słowa na warunki, pod którymi kapłan dochodzi do mocy, z pomocą których utrzymuje moc swoją – pojęcia te znajdują się u podwalin wszelkich organizacji kapłańskich, wszystkich kapłańskich lub filozoficzno-kapłańskich ustrojów władczych. „Kłamstwo święte” – wspólne Konfucjuszowi, *Księżę Praw Manu*, Mahometowi, Kościołowi chrześcijańskiemu – nie brak go u Platona. „Prawda jest tutaj”: to znaczy, gdziekolwiek się głosi, kapłan kłamie...

56.

– W końcu chodzi o to, dla jakiego celu się kłamie. Że w chrześcijaństwie brak „świętych” celów, to mój zarzut przeciw jego środkom. Tylko złe cele: zatrucie, oszczerstwo, zaprzeczenie życia, pogarda ciała, poniżenie w godności i samopohańbienie człowieka przez pojęcie grzechu – przeto są też jego środki złe. – Czytam z przeciwnym wprost uczuciem *Księżę Praw Manu*, bez porównania bardziej duchowe i wyższe dzieło, które choćby tylko wymienił jednym tchem z Biblią byłoby grzechem przeciw duchowi. Łatwo odgadnąć: ma ono prawdziwą filozofię poza sobą, w sobie, nie tylko niepachnącą judaizm i zabobon – nawet najwybredniejszy psycholog tu się pożywi. Nie zapominajmy o rzeczy głównej, o zasadniczej różnicy w porównaniu z wszelkiego rodzaju Biblią: dostojne stany, filozofowie i wojownicy dźwiza wraz z nim tłum w swojej ręce; wszędzie dostojne wartości, uczucie doskonałości, potwierdzanie życia, tryumfująca błogość z siebie i z życia – słońce leży na całej księdze. Wszystkie rzeczy, które chrześcijaństwo obrzuca swym bezdennym prostactwem, na przykład

plodzenie, kobietę, małżeństwo, traktuje się tu poważnie, z czcią, z miłością i zaufaniem. Jakże można właściwie dawać w rękę dzieciom i kobietom książkę, która zawiera te nikczemne słowa: „dla uwarowania się wszeteczeństwa niech każdy ma swoją własną żonę, a każda niech ma swego własnego męża... lepiej w stan małżeński wstąpić niż upalenie cierpieć” (Paweł, *I List do Koryntian* 7, 2 i 9). I w o l n ó ż być chrześcijaninem, dopóki powstanie człowieka jest schrystianizowane, to jest z b r u d z o n e pojęciem *immaculata conceptio*¹?... Nie znam książki, w której by powiedziano kobiecie tak wiele delikatnych i dobrotliwych rzeczy, jak w *Księdze Praw Manu*; ci starzy siwi brodacze i święci mają rodzaj grzeczności względem kobiet, być może nieprzewyższony. „Usta kobiety – napisano tam w jednym miejscu – piersi dziewczęce, modlitwa dziecka, dym ofiarny, są zawsze czyste”. W innym miejscu: „nie ma nic czystsze go nad światło słońca, cień krowy, powietrze, wodę, ogień i oddech dziewczyny”. Ostatni ustęp – może też kłamstwo święte! – „wszystkie otwory ciała powyżej pępka są czyste, wszystkie poniżej są nieczyste. Tylko u dziewczyny jest całe ciało czyste”.

57.

N i e ś w i ę t o ś ć środków chrześcijańskich chwyta się *in flagranti*, jeśli się mierzy cel chrześcijański wedle celu *Księgi Praw Manu* – jeśli się to największe przeciwieństwo celów silnie oświecili. Krytykowi chrześcijaństwa nie zostaje oszczędzonym podanie chrześcijaństwa w p o g a r d ę. – Taka księga praw jak *Księga Manu*, powstaje, jak każda dobra księga praw: zbiera ona doświadczenie, roztropność, moralność eksperymentalną długich stuleci, zamyka ona, nie tworzy nic więcej. Założeniem kodyfikacji w jej rodzaju jest zrozumienie, że środki do stworzenia powagi dla powolnie i drogo nabytej p r a w d y, są zasadniczo różne od tych, którymi by jej dowodzono. *Księga Praw* nie mówi nigdy o pożytku, argumentach, kazuistyce w przedziejach jakiegoś prawa: przez to właśnie utraciłoby ono rozkazodawczy ton, „powinieneś”, warunek tego, że się słucha. W tym właśnie leży problemat. – Na pewnym stopniu rozwoju pewnego ludu oznajmia najbaczniejsza, to jest wstecz i w dal patrząca jego warstwa, że doświadczenie, wedle którego żyć trzeba – to jest m o ż n a – jest skończone. Cel jej zmierza do zebrania jak najbogatszego i najzupełniejszego żniwa czasów eksperymentów i z ł e g o doświadczenia. Czemu przede wszystkim zapobiec teraz należy, to dalszemu jeszcze eksperymentowaniu, dalszemu trwaniu płynnego stanu wartości, badaniu, wybieraniu, krytykowaniu wartości *in infinitum*. Przeciw temu stawia

¹ *Immaculata conceptio* (łac.) – niepokalane poczęcie.

się podwójny mur: najpierw o b j a w i e n i e, to jest twierdzenie, że rozumowych praw n i e jest ludzkiego pochodzenia, n i e był powoli i wśród chybień szukany i znaleziony, lecz został tylko udzielony, jako boskiego pochodzenia, cały, doskonały, bez dziejów, jako dar, jako cud... Następnie t r a d y c j ę, to jest twierdzenie, że prawo istniało już od pradawnych czasów, że podawać je w wątpliwość jest brakiem petyzmu, zbrodnią względem przodków. Powaga prawa opiera się na dwóch tezach: Bóg je d a ł, przodkowie p r z e ż y w a l i. – Wyższy rozum takiego postępowania leży w zamiarze, by świadomość krok za krokiem wyprzeć z życia uznanego za słuszne (to jest d o w i e d z i o n e niezmiernym i surowo przesianym doświadczeniem): tak, że osiąga się doskonały automatyzm instynktu – ten warunek wszelkiego rodzaju mistrzostwa, wszelkiego rodzaju doskonałości w sztuce życia. Ustanowić księgę praw w rodzaju *Manu* znaczy pozwolić jakiemuś ludowi stawać się w przyszłości mistrzem, stawać się doskonałym – dążyć do najwyższej sztuki życia. N a t o s t a ć s i ę o n musi nieświadomym: to cel każdego świętego kłamstwa. – P o r z ą d e k k a s t o w y, najwyższe, dominujące prawo, jest tylko uświęceniem p o r z ą d k u n a t u r y, pierwszorzędną prawnością natury, nad którą nie ma mocy żadna samowola, żadna „idea nowoczesna”. W każdej zdrowej społeczności występują oddzielnie, warunkując się nawzajem, trzy typy o różnym ciężeniu fizjologicznym, z których każdy ma swoją własną higienę, swoje własne królestwo pracy, swój własny rodzaj poczucia doskonałości i mistrzostwa. Natura, n i e Manu, rozdziela ludzi więcej duchowych, więcej silnych mięśniami i temperamentem i tych trzecich, nieodznaczających się ani jednym, ani drugim, średnich – tych ostatnich jako wielką liczbę, pierwszych jako wybór. Najwyższa kasta – z w ę j ą n a j m n i e j l i c z n y m i – ma jako doskonałą także przywileje najmniej licznych: tu włącza się przedstawicielstwo szczęścia, piękności, dobroci na ziemi. Tylko najbardziej duchowi ludzie mają pozwolenie na piękność, na piękno: tylko u nich dobroć nie jest słabością. *Pulchrum est paucorum hominum*: dobro jest przywilejem. Niczego natomiast zabronić im bardziej nie można niż brzydkich manier lub pesymistycznego spojrzenia, oka, które z b r z y d z a – lub zgoła oburzenia na powszechny wygląd rzeczy. Oburzenie jest przywilejem czandaków; pesymizm również. „Ś w i a t j e s t d o s k o n a ł y – tak mówi instynkt najbardziej duchowych, instynkt potwierdzający – niedoskonałość, wszelkiego rodzaju p o d n a m i, odległość, patos odległości, sam czandak należy jeszcze do tej doskonałości”. Najbardziej duchowi ludzie, n a j s i l n i e j s i, znajdują swe szczęście w tym, w czym by inni znaleźli swą zgubę: w labiryncie, w srogości dla siebie i innych, w próbie; ich rozkoszą jest przewyciężanie siebie: ascetyzm staje się u nich naturą, potrzebą, instynktem. Trudne zadanie uważają za przywilej; igrać z brze-

mionami, które miażdżą innych -- za wytnienie... Poznanie – forma ascetyzmu. – Jest to najczcigodniejszy rodzaj ludzi: co nie wyklucza, że i najpogodniejszy, najmiłszy. Panują, nie dlatego że chcą, lecz dlatego że są; nie jest im dane do woli być drugimi. – Drużdy: to stróże prawa, przestrzegacze porządku i bezpieczeństwa, to dostojni wojownicy, to król przede wszystkim, jako najwyższa formuła wojownika, sędzi i strażnika prawa. Drużdy to egzekutywa najbardziej duchowych, najbliższa ich własność, to co zwalnia ich od wszelkiej grubej roboty w pracy panowania – ich orszak, ich prawa ręka, ich najlepsi uczniowie. – We wszystkim tym, by rzecz raz jeszcze, nie ma nic z samowoli, nic „robionego”; co jest i n e, jest robione – natura jest wówczas pohańbiona... Porządek kastowy, porządek według stopni, formułuje tylko najwyższe prawo samego życia; rozgraniczenie trzech typów jest konieczne do utrzymania społeczności, do umożliwienia wyższych i najwyższych typów – nierówność praw dopiero jest warunkiem tego, że w ogóle prawa istnieją. – Prawo jest przywilejem. W swoim sposobie istnienia ma każdy też swój przywilej. Nie ważmy lekce przywilejów ludzi średnich. Życie, dążące w wyżyny, staje się coraz twardsze – zimno rośnie, odpowiedzialność wzrasta. Wyższa kultura jest piramidą: stać ona może tylko na szerokiej podstawie, najpierwszym jej warunkiem jest silna i zdrowo skonsolidowana średniość. Rzemiosło, handel, rolnictwo, nauka, większa część sztuki, jednym słowem cały ogół działalności z powołania, zgadza się jedynie z średnią miarą możliwości i pożądaniami; wszystko to by było nie na swym miejscu wśród wyjątków, właściwy tu instynkt klóciłby się tak z arystokratyzmem, jak z anarchizmem. Że się jest publicznym pożytkiem, kołem, funkcją, to zależy od przeznaczenia z natury: nie społeczeństwo, lecz rodzaj s z c z ę ś c i a, do którego najliczniejsi są jedynie zdolni, robi z nich inteligentne maszyny. Dla człowieka średniego być średnim jest szczęściem; mistrzostwo w czymś jednym tylko, specjalność jest naturalnym instynktem. Byłoby zupełnie niegodne głębszego ducha widzieć już zarzut w średniości samej. Jest ona nawet pierwszą koniecznością do tego, że śmieją istnieć wyjątki: jest ona warunkiem wysokiej kultury. Jeżeli człowiek wyjątkowy właśnie ludzi średnich dotyka palcami delikatniejszymi niż siebie i sobie równych, to nie jest to tylko dwornością serca – jest to po prostu jego obowiazkiem... Kogóż najbardziej nienawidzę wśród dzisiejszej hołoty? Socjalistycznej hołoty, apostołów-czandaków, którzy podkopują instynkt, ochotę, uczucie zadowolenia robotnika ze swego małego istnienia – którzy zawistnym go czynią, którzy zemsty go uczą... Krzywda nie leży nigdy w nierówności praw, leży w roszczeniu sobie „równych” praw. Co jest z ł e? Lecz rzekłem to już: wszystko, co pochodzi ze słabości, z zawiści, z z e m s t y. -- Anarchista i chrześcijanin jednego są pochodzenia...

Rzeczywiście, stanowi to różnicę, w jakim celu się kłamie: czy się tym zachowuje, czy burzy. Między chrześcijaninem i anarchistą można położyć znak równości: ich cel, ich instynkt dąży do zburzenia. Dowód na to twierdzenie trzeba z historii tylko odczytać: zawiera go ona w przerażającej wyrazistości. Jeśli poznaliśmy dopiero co prawodawstwo religijne, którego celem było „uwiecznić” najwyższy warunek rozkwitu życia, wielką organizację społeczności – to chrześcijaństwo znalazło posłannictwo swe w tym, by położyć kres właśnie takiej organizacji, ponieważ w niej życie kwitło. Tam miano rozumowy wynik długich czasów eksperymentu i niepewności na najszerzy zasiać pożytek i możliwie największe, najbogatsze, najzupelnniejsze żniwo znieść do domu: tu przeciwnie w przeciągu nocy z atru to żniwo... To, co istniało *aere perennius*¹, *imperium Romanum*, było najwspanialszą z osiągniętych dotychczas form organizacji w ciężkich warunkach; w porównaniu z nią wszystko dawniejsze i późniejsze jest tylko łataniną, partactwem, dyletantyzmem. Owi święci anarchiści zrobili sobie „bogobojność” z tego, by zburzyć „świat”, to znaczy *imperium Romanum*, aby nie został kamień na kamieniu – aż Germanie i inne chamy stali się panami gruzów... Chrześcijanin i anarchista: obaj *déca-dents*, obaj niezdolni działac inaczey niż rozprzegajac, trujac, zaprawiajac goryczą, wysysajac krew, obaj z instynktem śmiertelnej niena wi ści do wszystkiego, co stoi, co jest wielkie, jest trwale, co życiu przyszłość przyrzeka... Chrześcijaństwo było wampirem *imperium Romanum* -- unicestwiło w ciągu nocy ogromne dzieło Rzymian, uzyskanie gruntu pod wielką kulturę, która ma czas. – Nie rozumiecież tego wciąż jeszcze? *Imperium Romanum*, które znamy, o którym historia prowincji rzymskiej coraz lepiej nas poucza, to najgodniejsze podziwu dzieło sztuki w wielkim stylu, było początkiem, budowa jego obliczona była na to, by dowieść się tysiącleciami – nigdy dotąd tak nie budowano, nigdy nawet nie śniono, by budować w równej mierze *sub specie aeterni*². Organizacja ta była dość silna, by wytrzymać złych cesarzy: przypadek w osobach nie śmie mieć nic do czynienia w takich rzeczach – pierwsza zasada wszelkiej wielkiej architektury. Lecz nie była dość silna przeciw najbardziej zepsutemu rodzajowi zepsucia, przeciw chrześcijanom... To tajemne robactwo, przypełzające wśród nocy, mgły i dwuznaczności do wszystkich jednostek i wysysające z każdej jednostki powagę w sprawie rzeczy prawdziwych,

¹ *Aere perennius* (łac.) – trwalszy od spizu.

² *Sub specie aeterni* (łac.) – z punktu widzenia wieczności.

instykt w ogóle do rzeczy realnych, ta tchórzliwa, niewieścia i cukrowo-słodka zgraja czyniła stopniowo „dusze” obcymi tej niezmiernej budowie – owe wartościowe, męsko-dostojne natury, które w sprawie Rzymu czuły swą własną powagę, swą własną dumę. Potulne skradanie się, tajemniczość konwentyklów, posępne wyobrażenia, jak piekło, jak ofiara z niewinnego, jak *unio mystica*¹ w picciu krwi, przede wszystkim powolne podniecanie ognia zemsty, zemsty czandali – to stało się panem Rzymu, ten sam rodzaj religii, który zwalczał już Epikur w jego przedstnieniowej formie. Trzeba czytać Lukrecjusza², by pojąć, co zwalczał Epikur, nie pogaństwo, lecz „chrześcijaństwo”, to znaczy zepsucie dusz pojęciem winy, kary i nieśmiertelności. – Zwalczał podziemne kulty, całe chrześcijaństwo w stanie utajonym – przeczyć nieśmiertelności było wtedy już prawdziwym zbawieniem. – I Epikur byłby zwyciężył, każdy szanowny duch w państwie rzymskim był epikurejczykiem: wtedy zjawił się Paweł... Paweł, w ciało i geniusz zmieniona nienawiść czandali do Rzymu, do świata, Żyd, Żyd wieczny *par excellence*... Odgadł on, w jaki sposób można przy pomocy małego, sekciarskiego ruchu chrześcijańskiego na uboczu od żydowszczyzny wzniecić „pożar świata”, w jaki sposób można z pomocą symbolu „Boga na krzyżu” skupić w ogromną moc wszystko u dołu leżące, wszystko tajemnie buntownicze, całe dziedzictwo anarchistycznych wicherzeń w państwie. „Zbawienie idzie od Żydów”. – Chrześcijaństwo jako formuła celem przescignięcia i zsumowania wszelkiego rodzaju kultów podziemnych, na przykład Ozyrysa³, Wielkiej Matki⁴, Mitrasa⁵ – na zrozumieniu tego polega geniusz Pawła. Instykt jego był w tym tak pewny, że wszystkie wyobrażenia, którymi czarowały owe religie czandali, włożył z bezlitosnym pogwałceniem prawdy w usta „Zbawiciela” swego wynalazku, i nie tylko w usta – że zrobił z niego coś, co zrozumieć mógł także kapłan Mitrasa... Oto czym

¹ *Unio mystica* (łac.) – mistyczne zjednoczenie.

² Lukrecjusz, Titus Lucretius Carus (ok. 97- ok. 55 p.n.e.) – rzymski poeta i filozof; znany ze swego jedyne go poematu *De rerum natura* (*O naturze wszechrzeczy*), który jest najpełniejszym zachowanym świadectwem atomizmu i materializmu greckiego filozofa Epikura.

³ Ozyrys (mit. egipska) – syn Ziemi i Nieba, bóg życia i zmian zachodzących w przyrodzie; został zamordowany przez swego brata Seta, boga Zła; zmartwychwstały został panem świata umarłych i sędzią ich dusz; symbol życia pozagrobowego.

⁴ Wielka Matka, Kybele – frygijska bogini wiosny, płodności, urodzaju, gór i obronnych miast, czczona w całej Azji Mniejszej, przez Greków i Rzymian utożsamiana z Reą.

⁵ Mitra – indoeuropejski bóg światła, czczony w starożytnej Persji; w II-IV w. kult Mitry był uznany oficjalnie w Rzymie; obejmował m.in. 7 stopni wtajemniczenia, nakaz dyscypliny wewnętrznej i walki ze złem; stał się obiektem ataków wczesnego chrześcijaństwa.

była jego droga do Damaszku: pojął on, że potrzebuje wiary w nieśmiertelność, by „świat” pozbawić wartości, że pojęcie „piekła” zapanuje jeszcze nad Rzymem – że „zaświatem” zabije się życie... Nihilista i chrześcijanin: to się z sobą godzi, i nie tylko godzi...

59.

Cała praca starożytnego świata na próżno: nie mam słowa na wyrażenie swego uczucia wobec czegoś tak potwornego. I jeśli się pomyśli, że praca jego była pracą przygotowawczą, że z granitową świadomością siebie położono właśnie dopiero podwaliny pod prace tysiącleci, to cały sens starożytnego świata jest próżny!... Po co Grecy? Po co Rzymianie? – Wszystkie założenia uczonej kultury, wszystkie naukowe metody już istniały, ustalono już wielką, nieporównaną sztukę dobrego czytania – to założenie tradycji kultury, jedności wiedzy; wiedza przyrodnicza, w przymierzu z matematyką i mechaniką, była na jak najlepszej drodze – zmysł faktów rzeczy w istych, ostatni i najwartościowszy z wszech zmysłów, miał swoje szkoły, swoją liczącą już stulecia tradycję! Rozumiecie to? Wszystko, co istotne, było znalezione, by móc zabrać się do pracy: – metody, trzeba to rzec dziesięciokrotnie, są tym, co istotne, także tym, co najtrudniejsze, jako też tym, co najdłużej ma przeciwko sobie nawykienia i lenistwa. Cośmy sobie dziś, z niewysłownym samoprzewyciężeniem – bo wszyscy na jakiś sposób mamy w krwi złe instynkty, chrześcijańskie – zdobyli z powrotem, wolne spojrzenie w obliczu rzeczywistości, ostrożna ręka, cierpliwość i powaga w najmniejszej rzeczy, cała rzetelność poznania – to już istniało! Już przeszło przed dwoma tysiącami lat! A do tego dobry, delikatny takt i smak! Nie jako tresura mózgu! Nie jako „niemieckie” wykształcenie z chamskimi manierami! Lecz jako ciało, jako gest, jako instynkt – słowem jako rzeczywistość!... Wszystko na próżno! Nazajutrz już tylko wspomnieniem! – Grecy! Rzymianie! Dostojność instynktu, smak, metodyczne badanie, geniusz organizacji i zarządu, wiara, wola przyszłości ludzkiej, wielkie potwierdzenie wszech rzeczy, widzialne jako *imperium Romanum*, widzialne dla wszech zmysłów, wielki styl już nie jeno sztuką, lecz rzeczywistością, prawdą, życiem... I w ciągu nocy nie przez kataklizm przyrody zasypane! Nie przez Germanów i inne ciężkonogi zdeptane! Lecz przez chytrego, tajnego, niewidzialnego, niedokrwistego wampira zhańbione! Nie pokonane – jeno wysrane!... Skryta żądza zemsty, drobna zawiść zapanaowała! Wszystko żałośliwe, z powodu siebie cierpiące, nawiedzane lichymi uczuciami, cały świat getta duszy od razu u góry! – Trzeba czytać tylko jakiegokolwiek chrześcijańskiego agitatora, na przykład świętego Au-

gustyna, by pojąć, by n o s e m p o c z u ć, co za niechlujne bractwo stanęło przez to u góry. Oszukano by się grubo, przypuszczając jakikolwiek brak rozsądku u tych przywódców ruchu chrześcijańskiego – o, są oni roztropni, roztropni aż do świętości, ci panowie Ojce Kościoła! Czego im brak, to zgoła czegoś innego. Natura ich zaniedbała – zapomniała wyposażyć ich skromnie w szanowne, w przyzwoite, w s c h l u d n e instynkty... Między nami mówiąc, nie są to nawet mężczyźni... Jeśli islam pogardza chrześcijaństwem, to ma tysiąckrotne do tego prawo: islam ma m ę ż c z y z n jako założenie...

60.

Chrześcijaństwo pozbawiło nas żniwa kultury starożytnej, później znów pozbawiło nas żniwa kultury i s l a m u. Cudowny mauretański świat kulturalny w Hiszpanii, pokrewniejszy n a m w gruncie, bardziej przemawiający do zmysłu i smaku niż Rzym i Grecja, został z d e p t a n y (nie mówię jakimi nogami). Dlaczego? Ponieważ powstanie swoje zawdzięczał dostojnym, męskim instynktom, ponieważ potwierdzał życie nawet jeszcze z rzadkimi i wyrafinowanymi kosztownościami życia mauretańskiego!... Krzyżowcy zwalczali później coś, przed czym w prochu leżeć byłoby im bardziej przystało – kulturę, wobec której nawet nasz wiek dziewiętnasty mógłby wydawać się sobie bardzo ubogim, bardzo „późnym”. – Oczywiście, chcieli oni brać łupy: Wschód był bogaty... Bądźmy przecie otwarci! Wojny krzyżowe – wyższego rodzaju korsarstwo, nic więcej! Szlachta niemiecka, w gruncie szlachta wikingowa, była zatem w swoim żywiole: Kościół wiedział zbyt dobrze, czym się p o z y s k u j e szlachtę niemiecką. Szlachta niemiecka, zawsze „szwajcarowie” Kościoła, zawsze w służbie lichych instynktów Kościoła, lecz d o b r z e p ł a t n i... Że też Kościół właśnie z pomocą niemieckich mieczy, niemieckiej krwi i odwagi stoczył swą śmiertelną wojnę przeciw wszystkiemu, co dostojne na ziemi! W miejscu tym nasuwa się moc bolesnych pytań. Niemieckiej szlachty b r a k prawie w dziejach wyższej kultury: zgadujecie powód... Chrześcijaństwo, alkohol – dwa wielkie środki zepsucia... W istocie rzeczy nie powinno by być wyboru, wobec islamu i chrześcijaństwa, równie jak wobec Araba i Żyda. Rozstrzygnięcie jest dane: nikomu nie jest dane do woli tu jeszcze wybierać. Albo j e s t się czandalą, albo się nim n i e j e s t... „Wojna z Rzymem na noże! Pokój, przyjaźń z islamem”: tak czuł, tak czynił wielki duch wolny, geniusz wśród niemieckich cesarzy, Fryderyk Drugi. Jak to? Musiż Niemiec być wpierw geniuszem, wpierw duchem wolnym, by czuć p r z y z w o i c i e? Nie pojmuję, jak Niemiec mógł kiedykolwiek czuć p o c h r z e ś c i j a ń s k u...

Rzecz konieczna dotknąć tu stokroć jeszcze Niemcowi boleśniejszego wspomnienia. Niemcy pozbawili Europę ostatniego wielkiego żniwa kultury, jakie Europa zebrać mogła – o d r o d z e n i a. Rozumiecież wreszcie, c h c e c i e ż rozumieć, czym było odrodzenie? P r z e m i a n ą w a r t o ś c i c h r z e ś c i j a Ń s k i c h, z pomocą wszystkich środków, całego geniuszu podjętą próbą dopomożenia do zwycięstwa p r z e c i w n y m wartościom, wartościom d o s t o j n y m... Dotychczas istniała tylko ta wielka wojna, nie było dotychczas żadnego bardziej rozstrzygającego postawienia kwestii, niż odrodzenie – m o j e zagadnienie jest ich zagadnieniem – nie było też nigdy bardziej zasadniczej, prostszej, surowiej na całej linii rozwiniętej i w centrum przypuszczonej formy a t a k u! Napaść w rozstrzygającym miejscu, w siedzibie samego chrześcijaństwa, d o s t o j n e wartości tu na tron wprowadzić, to jest wszczepić w instynkty, w najgłębsze potrzeby i pożądania tam właśnie siedzących... Widzę przed sobą m o ż l i w o ś ć o zgoła nadziemskim czarze i barw uroku – zda mi się, że jaśnieje ona we wszystkich dreszczach wyrafinowanej piękności, że jest w niej u dzieła sztuka tak boska, tak diabelsko boska, że przeszukuje się daremnie tysiąclecia, by znaleźć drugą taką możliwość; widzę widowisko tak w myśl bogate, tak cudownie paradoksalne zarazem, że wszystkie bóstwa Olimpu miałyby powód do nieśmiertelnego śmiechu – C e z a r B o r g i a j a k o p a p i e ż... Rozumiecież mnie?... Hejże, t o byłoby zwycięstwo, którego dziś ja tylko pożadam – tym samym byłoby chrześcijaństwo u p r z ą t n i ę t e! – Cóż się stało? Niemiecki mnich, Luter, przybył do Rzymu. Mnich ten, z wszystkimi w krwi żądnymi zemsty instynktami unieszczęśliwionego kapłana, oburzał się w Rzymie przeciw odrodzeniu... Miast z najgłębszą wdzięcznością zrozumieć potworność, która się zdarzyła, przezwyjęcie chrześcijaństwa w jego s i e d z i b i e – umiała tylko nienawiść jego z tego widowiska ciągnąć pokarm dla siebie. Człowiek religijny myśli tylko o sobie. – Luter widział z e p s u c i e p a p i e s t w a, podczas gdy właśnie przeciwieństwa dotknąć można było rękoma: stare zepsucie, *peccatum originale*, chrześcijaństwo już nie siedziało na stolcu papieskim! Lecz życie! Lecz tryumf życia! Lecz wielkie „Tak” mówione wysokim, pięknym, zuchwałym rzeczom!... I Luter przywrócił z n o w u K o ś c i ó ł: napadał nań... Odrodzenie – zdarzenie bez sensu, wielkie n a p r ó ż n o! – Ach, ci Niemcy, ileż nas oni już kosztowali! Na próżno – to zawsze było d z i e ł o Niemców. – Reformacja, Leibniz, Kant i tak zwana filozofia niemiecka; wojny o „wolność”; państwo – każdym razem jedno na próżno względem czegoś, co już istniało, co już n i e p o w e t o w a n e... To są m o i wrogowie, wyznają, ci Niem-

cy: pogardzam w nich wszelkim rodzajem niechlujstwa w pojęciach i wartościach, t c h ó r z o s t w a przed każdym rzetelnym „Tak” i „Nie”. Prawie od tysiąca lat skłaczali i plątali wszystko, czego swymi dotknęli palcami, mają na sumieniu wszystkie połowiczności – trzy-ósmości! – na które Europa jest chora – mają też na sumieniu najniechlujniejszy rodzaj chrześcijaństwa, jaki istnieje, najbardziej nieuleczalny, najbardziej nie do zbitcia, protestantyzm... Jeśli się nie uporamy z chrześcijaństwem, N i e m c y będą temu winni...

62.

– Oto jestem u końca i wygłaszam swój wyrok. P o t ę p i a m chrześcijaństwo, podnoszę przeciw Kościołowi chrześcijańskiemu najstraszliwsze ze wszystkich oskarżeń, jakie kiedykolwiek oskarżyciel jaki miał na ustach. Jest mi on największym zepsuciem, jakie pomyśleć sobie można, wola jego dążyła do ostatecznego, jakie tylko być może, zepsucia. Kościół chrześcijański nie pozostawił żadnej rzeczy nietkniętej swym zepsuciem, uczynił z każdej wartości bezwartość, z każdej prawdy kłamstwo, z każdej rzetelności nikczemność duchową. Ważcież mi się jeszcze mówić o jego „humanitarnych” błogosławieństwach! U s u n i ę c i e jakiejś niedoli sprzeciwiało się jego najgłębszemu pożytkowi, żył niedolami, s t w a r z a ł niedole, by s i e b i e uwiecznić... Robak grzechu na przykład: dopieroż tą niedolą wzbogacił Kościół ludzkość! – „Równość dusz przed Bogiem”, ten fałsz, ten p r e t e k s t do *rancune* wszystkich podle myślących, ten pojęciowy materiał rozsadzający, który stał się w końcu rewolucją, ideą nowoczesną i zasadą upadku całego porządku społecznego – jest c h r z e ś c i j a ń s k i m dynamitem... „Humanitarne” błogosławieństwa Kościoła! Wyhodować z *humanitas* sprzeczność z sobą, sztukę samogwałtu, wolę kłamstwa za wszelką cenę, odrazę, pogardę dla wszystkich dobrych i rzetelnych instynktów! Toż to mi błogosławieństwa chrześcijaństwa! – Pasożytnictwo jako j e d y n a praktyka Kościoła; blednica i „świętość” jego ideałów, wypijająca wszelką krew, wszelką miłość, wszelką nadzieję w życie; zaświat jako wola zaprzeczenia wszelkiej rzeczywistości; krzyż jako znak poznawczy dla najpodziemniejszego sprzyśiężenia, jakie kiedykolwiek istniało – przeciw zdrowiu, piękności, pomyślnemu udaniu się, waleczności, duchowi, d o b r o c i' duszy, p r z e c i w k o s a m e m u ż y c i u...

To wiecyste oskarżenie chrześcijaństwa wypisać chcę na wszystkich ścianach, gdzie tylko ściany istnieją – mam litery, które i ślepych widzącymi uczynią... Zwę chrześcijaństwo jednym wielkim przekleństwem, jednym wielkim najwnętrzniejszym zepsuciem, jednym wielkim instynktem zemsty, dla

którego żaden środek nie jest dość jadowity, tajny, podziemny, mały – zwięźle jedną nieśmiertelną, hańbiącą plamą na ludzkości...

I liczy się czas od *dies nefastus*¹, w którym zaczęła się ta fatalność – od pierwszego dnia chrześcijaństwa! – Czemż raczej nie od jego ostatniego? – O d z i ś! – Przemiana wszystkich wartości!...

¹ *Dies nefastus* (łac.) – nieszczęsny dzień.

POSŁOWIE

Bezwzględny wymóg rozpadu. Nietzsche

Ale jak mamy się sami odnaleźć? Jak człowiek może poznać samego siebie? To mroczna i zawiła sprawa [...] – u samego początku czeka udreka i niebezpieczeństwa drążenia w samym sobie i śpiesznego zstępowania w kolejne chodniki szybu własnej istoty. Jakże łatwo przy tym doznać szkody tak poważnej, że żaden lekarz jej nie uleczy.

F. Nietzsche, „Schopenhauer jako wychowawca”

1.

W niezwykle zagmatwanej sieci, jaką stanowi topografia Nietzscheańskiej filozofii, antychrześcijaństwo zdaje się być jednym z trzech punktów orientacyjnych¹. Triadę tę uzupełniają radykalna, wyrażająca się w niepohamowanej pasji polemiczno-krytycznej diagnoza współczesnej kultury oraz trwały sentyment do epoki starożytnej, ujawniany przez wciąż ponawiany postulat powrotu do wartości obecnych w kulturze greckiej. Związek tych trzech elementów jest ewidentny i Nietzsche nie kryje, że stanowią one oś jego filozoficznego projektu. Wyskandowana w zakończe-

¹ Pomimo mniej lub bardziej wątpliwych prób mediatyzacji Nietzscheańskiego radykalizmu w tej kwestii, żeby wspomnieć chociażby egzegezy Jaspersa („walka Nietzschego przeciwko chrześcijaństwu wyrasta z jego własnej chrześcijańskości”) czy rozmaite komentarze prowadzone w duchu Freudowskim. Zob. np. Karl Jaspers, *Nietzsche*, przeł. D. Stroińska, KR, Warszawa 1997, Karl Jaspers, *Rozum i egzystencja. Nietzsche a chrześcijaństwo*, przeł. C. Piecuch, PWN, Warszawa 1991 oraz Joachim Köhler, *Tajemnica Zaratustry. Biografia Nietzschego*, przeł. W. Kunicki, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996. Wszystkie te prace dzielą wady i zalety biografistycznego i obarczonego interpretacyjnymi presupozycjami podejścia.

niu *Antychrysta* anatema chrześcijaństwa¹ jest zatem nie tylko zwieńczeniem konstrukcji tego niewielkiego dziełka, ale także ukoronowaniem tendencji obecnej w pisarstwie Nietzschego od najwcześniejszych lat.

Już *Narodziny tragedii* można odczytywać jako propozycję swego rodzaju odtrutki na zepsutą chrześcijaństwem kulturę europejską. Powrót do antycznych źródeł, do oczyszczającej, wynikającej z uświęcającego tragedię spotkania Apollina i Dionizosa roli autentycznej sztuki, był nie tyle filologiczną analizą, co filozoficzną, na wskroś metafizyczną wizją świata i boskości przenikającej świadomość i odrywającą ją od sokratycznej, a więc protochrześcijańskiej i zniewieściałej moralności. Niedługo potem Nietzsche poświęcił jedno ze swoich „rozważań nie na czasie” pisarstwu dziś już niemal zapomnianego, popularnego w XIX wieku niemieckiego filozofa i ideologa Davida Straussa. W 1835 roku ukazała się jego dwutomowa praca *Das Leben Jesu kritisch bearbeitet*, która wzbudziła w Niemczech niemały ferment swoją odważną krytyką wiarygodności opisu życia Jezusa, jaki znamy z Nowego Testamentu. Nietzschemu oczywiście zaimponowała ta praca: krytyczne, niemal bezprecedensowe (jeśli pominąć Thomasa Woolstona, Charlesa Blounta, Thomasa Chubba i Davida Hume’a) zastosowanie badań historycznych do treści przedstawionych w Nowym Testamencie.² Niestety, ponad trzydzieści lat później Strauss dopełnił swoją krytykę postulatami zmian społecznych, wizją nowego porządku, „nowej wiary” (*neue Glaube*)³, na który Nietzsche, może prócz krótkiej fazy pozytywistycznej, nie chciał przystać. Koncepcje ziemskiego raju Straussa czy Hartmanna⁴ budził sprzeciw młodego Nietzschego, starszego niezmiennie irytowały germanofilskie i antysemickie projekty siostry i szwagra (w szczególności Nowa Germania, niezwykle, warte odrębnego

¹ Fryderyk Nietzsche, *Antychryst*, przeł. L. Staff, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2003, 62; dalej w tekście jako A wraz z podaniem numeru paragrafu; skróty innych cytowanych dzieł Nietzschego: NR – *Niewczesne rozważania*, przeł. M. Łukasiewicz, Znak, Kraków 1996; GM – *Z genealogii moralności*, przeł. G. Sowiński, Znak, Kraków 1997; WC – *Wędrowiec i jego cień*, przeł. K. Drzewiecki, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2003; J – *Jutrzenka*, przeł. S. Wyrzykowski, Warszawa-Kraków 1912; EH – *Ecce homo*, przeł. L. Staff, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2003; WR – *Wiedza radośna*, przeł. L. Staff, Warszawa 1911; WM – *Wola mocy. Próba przemiany wszystkich wartości*, przeł. S. Frycz i K. Drzewiecki, Warszawa 1911; L – *Listy*, przeł. B. Baran, inter esse, Kraków 1994; PPI – *Pisma pozostałe 1862-1875*, przeł. B. Baran, inter esse, Kraków 1993; PPII – *Pisma pozostałe 1876-1889*, przeł. B. Baran, inter esse, Kraków 1994. Cyfry następujące po skrócie odsyłają, jeśli nie zaznaczono inaczej, do odpowiedniego paragrafu.

² Przy czym, podobnie jak w przypadku Hume’owskiego eseju „O cudach”, wydarzenia biblijne zostają zdyskwalifikowane jako fakty historyczne, gdyż za ich autentycznością nie przemawiają wystarczające racje dowodowe.

³ Tytuł pracy Straussa, z którą polemizuje Nietzsche brzmi właśnie *Der alte und der neue Glaube*, „Stara i nowa wiara”, 1872). Por. NR, I, 3.

⁴ Idee „praktycznie użytecznego urzędzenia ziemskiej ojczyzny” niemieckiego heglisty Eduarda von Hartmanna wyśmiewa Nietzsche w „O pożytkach i szkodliwości historii dla życia” [por. NR, II, 9].

omówienia przedsięwzięcie kolonizacyjne w Paragwaju). Nawet okres zachłyśnięcia ideami oświecenia, progresywnością nauki i poznania naukowego, możliwością budowy trwałego porządku społecznego opartego na rozwoju techniki nie przeszkadzał Nietzschemu w bezpardonowym ataku chrześcijaństwa. *Ludzkie, arcyludzkie*, tekst reprezentujący „pozytywistyczną” fazę myśli Nietzschego, jest w dużej mierze krytyką świadomości religijnej. Odnajdziemy tam większość wątków, których pogłębiona i radykalniejsza analiza obecna będzie na kartach dojrzałych prac Nietzschego, w szczególności *Z genealogii moralności* i *Antychrysta*.¹

2.

Nie da się bowiem oddzielić *Z genealogii moralności* i *Antychrysta*: Nietzsche odsyła czytelników *Antychrysta* do swoich genealogicznych rozprawek, bo przedstawione w nich analizy mają podstawowe znaczenie dla podjętego w *Antychryście* przedsięwzięcia totalnej i emfaticznej krytyki. Pierwsza rozprawka w owym zbiorze, „»Dobry i zły«, »dobry i lichy«”, dostarcza psychologiczno-historyczno-etymologiczny, a więc genealogiczny portret chrześcijańskiej moralności. Genetycznie pierwotna jest zdaniem Nietzschego nie opozycja *dobry/zły* aksjologicznie rudymetarna dla moralności chrześcijańskiej, lecz opozycja *dobry/lichy*: „pojęcie »dostojny«, »szlachecki« w znaczeniu stanowym jest wszędzie pojęciem podstawowym, z którego z koniecznością rozwija się pojęcie »dobry« w sensie »psychicznie dostojny«, »szlachetny«, a także »wysokojakościowy psychicznie«, »uprzywilejowany psychicznie«: ewolucja ta zawsze przebiegała paralelnie do innej, w trakcie której pojęcia: »pospolity«, »gminny«, »niski«, przechodziły w końcu w pojęcie »lichy«” [GM, I, 4]. Chrześcijańska moralność dokonuje aksjologicznej przemiany: dobro, pierwotnie ekwiwalent „dostojności”, „mocy”, „piękna” czy „szczęśliwości” [GM, I, 7], staje się określeniem charakteryzującym to, co najlichsze. „Tylko nędzni są dobrymi – parafrazuje Nietzsche język, w jakim chrześcijaństwo objawia logikę przewartościowania – tylko ubodzy, pozbawieni mocy, niscy są dobrymi, cierpiący, potrzebujący, chorzy, szpetni są też jedynymi pobożnymi, jedynymi błogosławionymi w Bogu, tylko dla nich jest błogosławieństwo – natomiast wy, wy dostojni i potężni, wy jesteście po wsze czasy złymi, okrutnymi, lubieżnymi, nienasyconymi, bezbożnymi, i wy też po wiek wieków będziecie pozbawionymi błogosławieństwa, przeklętymi, potępionymi!” [GM, I, 7] Psychologiczny mechanizm, mocą którego słabi i liczni tworzą to, co złe, nazywa Nietzsche resentymentem. W perspektywie historycznej jest on buntem niewolników na wielką skalę, chrześcijańskim „przewartościowaniem wszystkich wartości”. „O ile wszelka dostojna moralność – wywodzi Nietzsche – wyrasta z tryumfującego »Tak« wobec siebie samej, o tyle moralność niewolników z góry mówi »Nie« wszyst-

¹ Obecna w *Antychryście*, interesująca idea przedstawiająca chrześcijaństwo jako wroga poznania i wiedzy [por. A, 47-49] doskonale komponuje się ze „scjentystycznymi” pismami Nietzschego, w których zdaje się on przyjmować odrzucaną wcześniej („O prawdzie i kłamstwie w pozamoralnym sensie”) i później (*Wola mocy*) koncepcję prawdy.

kiemu, co »poza« nią, co od niej »inne«, co »nie jest nią samą«: i właśnie owo »Nie« stanowi jej twórczy czyn” [GM, I, 10]. Demistyfikację *ressentiment*, tej fatalnej i monstrualnej siły leżącej u podstaw europejskiej kultury, Nietzsche uzupełnia pojęciami dekadencji (chorobliwie niskiego poziomu woli mocy) oraz nihilizmu (kategorii określającej kulturę, której zdegenerowane wartości nie są w stanie służyć za punkty odniesienia dla zdeorientowanych jednostek).

Lista kłamstw i grzechów chrześcijaństwa jest zresztą długa, a wszystkie wynikają z jego nieusuwalnie reaktywnego charakteru [A, 5, 7, 17, 18]. Nietzsche w *Antychryście* wylicza chrześcijańskie błędy niezwykle skrupulatnie, niezależnie zresztą od ich filozoficznej czy historycznej wagi: absurdalna idea skażenia istnienia grzechem pierwotnym [A, 5], z gruntu fałszywa idea postępu [A, 4, 62], brak subtelności [A, 23], degeneracji filozofii [A, 5-12], umiłowanie cierpienia [A, 30], zniszczenie kultury *imperium Romanum* [A, 58-9], zaprzeczanie „życiu”, „naturalności”, „rzeczywistości” [A, 6, 15, 25, 27, 30], daje pożywkę fanatykom w rodzaju Savonaroli, Lutra czy Robespierre’a [A, 54], czy wreszcie „zepsucie Pascala” [A, 5].

Fałszywe wartości, niski stopień woli mocy, resentment – wszystkie te określenia definiują „człowieka chrześcijańskiego” jako produktu i generatora zaprzeczonych wartości. Uporanie się z chrześcijaństwem oznacza zatem nie tylko uporanie się z Bogiem, ale przede wszystkim z „lichymi” wyznawcami i zdegenerowanymi kapłanami.

3.

Najłatwiejsze jest uśmiercenie Boga, szczególnie jeśli uprzytomnimy sobie kulisy jego narodzin. Bo skąd się wziął? Z ludzkiego *mniewania*, które dzięki małości człowieka wzniosło się do poziomu *objawienia*. Bóg jest fikcją umysłu rozpatrującego siebie i świat, hipotezą, której człowiek natychmiast przypisuje realne (i sprawcze wobec naszego) istnienie, nie mając „odwagi czuć się twórcą [...] szczęśliwości i przyczynę tejże, jak też przyczynę przyczyny owej nowej myśli przypisuje Bogu” [J, 62]. Pojęcie Boga jest jednym z nielicznych twórczych skutków owej niewolniczej, reaktywnej świadomości, jest „wynałazkiem” przeciwnym życiu, „wampirycznym” [EH, s. 124]. Bogotwórcza aktywność człowieka to oczywiście Nietzscheańska rekapitulacja Feuerbacha (*Istota chrześcijaństwa*, 1841) i Hume’a. Ten ostatni, w niezwykle niegdyś kontrowersyjnej *Naturalnej historii religii* (1757), poddaje chrześcijański model stworzenia radykalnej transpozycji: to nie Bóg stwarza, lecz sam jest stwarzany przez słabych i bezradnych ludzi. Strach przed śmiercią, przed nieokreśloną przyrodą i świadomość znikomości własnej mocy popychają człowieka ku oddaniu się w opiece sił wyższych: naturalnych żywiołów z czasem personifikowanych i antropomorfizowanych, a następnie – przez wzmoczenie cech ludzkich, a zatem przez eminencję – przedstawianych jako doskonałe, wszechmocne, wszechwiedzące, etc.¹ Wobec tych wszystkich własności istnienie Boga staje się oczywiste samo

¹ Por. David Hume, *Dialogi o religii naturalnej. Naturalna historia religii*, przeł. A. Hochfeldowa, Warszawa 1962, ss. 140-174.

przez się: tak *urobione* pojęcie musi zawierać w sobie istnienie, inaczej byłoby bezprzedmiotowe, a więc pozbawione sensu. Tak zwany dowód ontologiczny nie potrzebuje nawet „falszerstwa” [A, 26] biblijnego objawienia. Błędne koło dowodu ontologicznego legitymizuje istnienie fikcji, która dopiero potem staje się ideą nie tyle nawet regulatywną, co kompensacyjną. Objawienie dopełnia bowiem obraz chrześcijaństwa: uwzniośla cierpienie i nadaje mu eschatyczny sens.

Nietzsche zwiastuje śmierć Boga w słynnym 125. aforyzmie z *Wiedzy radosnej*. Emancypujący się rozum, ludzkie narzędzie zawłaszczania świata, to samo, które uprzednio, świadome własnej ułomności powołało Boga do istnienia, sięgnęło ostatecznie wyżyn i „starło cały widnokrąg, wypiło morze” [WR, 125]. Hume, Holbach, de Sade, jednym słowem *philosophes*, jako pierwsi dokonali genealogicznego eksperymentu, który rychło obnażył filozoficzną słabość pojęcia Boga. *Straszliwa* nowina przychodzi jednak nie na czasie, ludzie nie są gotowi na wysłuchanie i przyjęcie zwiastuna tego, co nowe. Filozoficzna śmierć Boga („Zabiliśmy go – wy i ja! Wszyscy jesteście jego zabójcami” [WR, 125]) musi jeszcze poczekać na interioryzację. Nawet bowiem powszechna świadomość śmierci Boga (rozumiana jako tryumf ateizmu i świeckiej kultury z jednej, a filozoficzną demystyfikację pojęcia Boga z drugiej strony) nie przekłada się w prosty sposób na rewolucję w moralności. Przeciwnie, chrześcijaństwa nie da się oderwać od jego kulturowych protez: struktury społecznej zdominowanej przez uśrednione cnoty mieszczańskie czy służebnej filozofii z jej intoksykującymi, zafałszowanymi wizjami świata. Nawet marzenie o wielkim stylu w sztuce legło w gruzach wraz z *Parsifalem* „radcy kościoła” Ryszarda Wagnera¹. Projekt, który marzycielsko snuje Nietzsche, a więc powrót do wartości pierwotnych, przywrócenie słowom ich właściwego sensu, czy wreszcie – w sensie społecznym – detronizacja „kultury wyczerpania i braku” musi najpierw uporać się z religijną moralnością kamuflującą się w kulturze. Śmierć Boga niewiele zmienia, kultura bowiem została zbudowana na jego istnieniu i będzie trwać siłą inercji przez wiele kolejnych stuleci. Śmierć Boga może uderzyć w filozofię (filozoficzną *Weltanschauung*) i filozofów: grozić rozproszeniem podmiotu, rozpadem tożsamości, jak wywodzi Pierre Klossowski² – ale nie w życie społeczne, zbyt mocno związane z chrześcijaństwem więzami resentymentu, dekadencji i nihilizmu. Dlatego człowieka należy „przekroczyć”, a nie „ulepszać”.

4.

Brak tu miejsca by ocenić zasadność Nietzscheańskiej napastliwości względem chrześcijaństwa. Wydaje się, że diagnoza dotycząca zasadniczo reaktywnego, sprzecznego z ideą życia, charakteru kultury opartej na chrześcijańskich wartościach przyję-

¹ „Zmurszały, zropaczony romantyk – pisze Nietzsche o Wagnerze – padł nagle, bezsilny i przybity, przed krzyżem chrześcijańskim...” [WC, Przedmowa, 3]

² Por. Pierre Klossowski, *Nietzsche i błędne koło*, przeł. B. Banasiak i K. Matuszewski, Warszawa 1996.

ta została nazbyt pochopnie, a sama teza jest zbyt ogólna. Wszakże mające ugruntować tę tezę spektakularne ataki Nietzschego są istotne z kilku przynajmniej powodów. Po pierwsze wskazują na niesłychaną intuicję psychologiczną i socjologiczną filozofa; po drugie, stanowią punkt odniesienia dla pozytywnych projektów Nietzschego, które wyrastają z rudymen tarnej niezgody na represyjność religijnej moralności i akcentują niepowtarzalność każdego indywiduum [por. np. NR, III, 1]; po trzecie, przedstawiają Nietzschego jako bezwzględnie krytyka historii filozofii rozumianej jako zbiór bezosobowych przepisów moralnych. Atak Nietzschego na, przede wszystkim niemiecką, filozofię, która ze służebnicy teologii stała się służebnicą teologicznej moralności (legitymizującej to, co liche) ma swoje merytoryczne uzasadnienie i z tego powodu warto poświęcić jej parę słów. Nietzsche czyni wyjątek dla sceptyków („przyzwoity typ w historii filozofii”), ale już dla Leibniza, Kanta, Hegla, Schopenhauera, a także Fichtego, Schellinga czy Schleiermachera, tych „bezwiednych« fałszerzy monet” [EH, s. 71] nie ma wiele litości. Filozofia niemiecka jest dla Nietzschego „podstępna teologia” [A, 10]. Najostrzej traktuje Nietzsche Kanta: „Cnota«, »obowiązek«, »dobro w sobie«, dobro o charakterze bezosobowości i powszechnej obowiązkowości – majaki mózgu, w których wyraża się zanik, ostateczne osłabienie życia, chińszczyzna królewiecka. [...] Kant stał się idiotą. [...] Ten pajak złowieszczy uchodził za filozofa niemieckiego – uchodzi zań jeszcze!” [A, 11]. Nie można godzić ognia z wodą, indywidualistycznej etyki Nietzschego z kantowskim imperatywem kategorycznym, „Boga”, „duszy”, „ja”, „ducha”, „wolnej woli” (urojonych przyczyn) czy „grzechu”, „zbawienia”, „łaski” i „kary” (urojonych skutków) [A, 10] z wolą życia i wolą mocy. Systemy Leibniza i Hegla² dają schronienie pojęciom o charakterze teologicznym (a więc represyjnym i reaktywnym), Schopenhauer gloryfikuje dekadencje i nihilistyczne wartości cierpienia i litości. Na tak ułomnych podstawach nie da się zbudować metafizyki życia, bujności i wzrostu. Filozofia wciela w siebie chrześcijański model odkupienia i zbawienia implikowany przez doktrynę grzechu pierwotnego. Zdaniem Nietzschego jedyny skutek, jaki przynosi ta terapia to nawracające szaleństwo: „Zamiast zdrowia «zbawienie duszy» – to znaczy *une folie circulaire* między spazmem pokutnym a histerią zbawienia!” [EH, s. 80, por. A, 51]. Dialektyka grzechu i zbawienia, winy i odkupienia nie ma żadnej wyższej syntezy: apeluje do represyjnej transcendencji, ignorując bogactwo form życia.

¹ A, 7. Nietzsche ma tu zapewne na myśli Hume’a – z którym łączy go zaskakująco wiele, przede wszystkim metodologia badań historycznych i diagnozy dotyczące chrześcijaństwa – oraz Montaigne’a i Bayle’a.

² „Bóg stał się dla samego siebie przejrzyisty i zrozumiały – kpi Nietzsche z heglowskiej historiozofii – w czaszce mózgowej Hegla i wspiął się po wszystkich możliwych szczeblach swego stawania się aż do samoobjawienia: dla Hegla punkt szczytowy i końcowy procesu świata zbiegał się z jego własną egzystencją w Berlinie”. [NR, II, 8]

Kulturę chrześcijańską rozumiał Nietzsche niezwykle szeroko, jako wszechobecną i tryumfującą dekadencję. Czym wszakże ma być jej rewindykowana antyteza? Nietzsche poszukiwał jej od czasów studiów filologicznych, one zresztą ukierunkowały poszukiwania i nazaczyły jego twórczość fascynacją kulturą starożytnej Grecji, a w szczególności próbą konceptualizacji ideału dionizyjskości.¹ Odtąd zaczyna Nietzsche snuć swoją sieć, skomplikowaną konstrukcję splecioną z rozmaitych wątków inspirowanych tyleż mitologią grecką, co buddyzmem i – przynajmniej w pierwszej fazie – Schopenhauerem. W tym metafizyczno-eschatycznym korowodzie tylko pozornie niezwiązanych ze sobą idei pojawią się wola mocy, wieczny powrót, *amor fati*, czy wreszcie nadczłowiek jako najdoskonalszy wykwit bytu. Wszystkie te elementy należy traktować jako antytezy dekadentckiej postawy chrześcijańskiej. Chrześcijanin to człowiek o zerowym stopniu woli mocy, wieczny powrót to kpina z chrześcijańskiej eschatologii, *amor fati* to zaprzeczenie pokory chrześcijaństwa i judaizmu, wreszcie nadczłowiek ma przynieść upragniony koniec smutku, jaki ewokuje dotyczący śmierci Boga fragment *Wiedzy radosnej* [WR, 125].

Wieczny powrót – o ile rozumieć go będziemy selektywnie – uczyni ziemię ludzi ziemią nadludzi, a wiecznie nienasycony kochanek Dionizosa będzie mógł objąć swą równowieczną kochankę w miłosnym akcie wolności. Powróci tylko to, co wolne – nomadyczni nadludzie, najwyższe punktuacje woli mocy. Przepadnie to wszystko, co niskie, bałamutne, ograniczające: kłamiwa religia, represyjna moralność, służebna filozofia, niska sztuka. Eschatyczne królestwo Nietzschego stanie się jaźnią Dionizosa, boga wina i śpiewu, planetą zabawy i przypadku, co równało się będzie powrotowi do heraklitejskiego rozumienia świata. Nawiązując do słynnego Heraklitejskiego fragmentu B52², Nietzsche pisze w rozprawce „Filozofia w tragicznej epoce Greków”, że „powstawanie i przemijanie, budowanie i burzenie bez jakiegokolwiek moralnej kwalifikacji, z wiecznie tą samą niewinnością cechuje na tym świecie tylko igraszkę artysty i dziecka” [PPI, s. 134]. W swojej interpretacji filozofii presokratyków Nietzsche opowiada się za Heraklitem a przeciw Anaksymandrowi i Schopenhauerowi, przeciw *hybris*, przeciw istnieniu skażonemu grzechem, przeciw zaprzeczeniu woli życia [PPI, s. 134-4].

W tym szkicowo tu zarysowanym projekcie Nietzschego istnieje wewnętrzne napięcie, które uświadamia nam, że Nietzscheański Zaratustra podejmuje się misji niemożliwej, skoro filozof proponuje dwa projekty zasadniczo ze sobą sprzeczne.

¹ To, że – jak wykazał Giorgio Colli (por. tenże, *Narodziny filozofii*, przeł. St. Kasprzysiak, Oficyna Literacka, Kraków 1994) – Nietzsche błędnie przyjął w *Narodzinach tragedii* ostrą dychotomię między Apollinem a Dionizosem, nie ma tu nic do rzeczy, skoro Dionizos powracający na kartach Nietzscheańskich dzieł i listów przestaje być greckim bogiem i staje się filozoficzną kreacją samego Nietzschego.

² „Wieczność dzieckiem jest bawiącym się, grającym w warcaby; dziecka królowanie”. Heraklit z Efezu, *147 fragmentów*, przeł. R. Zaborowski, Warszawa 1996, s. 14.

Pierwszym jest projekt Nietzschego-metafizyka: powrót wartości dostojnych, wolnych duchów, królowanie nadczłowieka. Drugim jest idea powrotu do Greków (*via* buddyzm), projekt Nietzschego-mistyka. O ile pierwszy projekt zakłada królestwo silnych, potrafiących narzucić swoją wolę jednostek, o tyle drugi jest zaprzeczeniem wszystkiego, co indywidualne, roztopieniem się w stawaniu się świata. Rzecz wygląda tak, jakby Nietzsche, poszukując u Greków i Rzymian [zob. np. NR, II, 8] wsparcia przeciw dekadencji europejskiej kultury, nie docenił siły sojusznika.

6.

Nietzsche nie dostrzegł ułomności kultury Rzymu względem kultury Aten. Jeden z „niewczesnych” uczniów Nietzschego, Oswald Spengler, widzi w nich wręcz dychotomiczne modele kulturowe: „Rzymianie byli barbarzyńcami [...] grabarzami wielkiego rozkwitu. Bezdušní, niefilozoficzni, pozbawieni sztuki, rasistowscy aż do granic brutalności, bezwzględnie zmierzający do konkretnych rezultatów, sytuują się między kulturą helleńską a nicością. Ich skierowana wyłącznie na praktyczne cele wyobraźnia jest cechą w ogóle niespotykaną w Atenach. Oto opozycja: grecka dusza – rzymski intelekt. Taka jest właśnie różnica między kulturą a cywilizacją”.¹ Nietzsche pozostawał ślepy na rzymskie zaprzeczenie tego, co greckie, być może ze względu na *zapatrzenie* w renesans², a być może dlatego, że jego wizja historii nie opierała się na badaniu morfologicznym i przyjmowała *a priori* „niewiarygodnie jałowy i bezsensowny schemat” starożytność-średniowiecze-nowożytność³. Budując swój projekt, Nietzsche próbował odwrócić to, co już się dokonało. Biorąc stronę tego, co mierne i liche, a więc słabe pod względem woli, chrześcijaństwo (z jego najgorszą formą – protestantyzmem [A, 61]) z premedytacją wykorzenia to, co wysokie – tych, którzy mocy pożądamy w stopniu najwyższym, a to oni mają przecież „posiąść Ziemię”. Tymczasem filologiczne zainteresowania Nietzschego od najmłodszych lat pchały go ku Grecji. Przytaczany fragment z Heraklita daje się doskonale pogodzić z wyraźnie widocznym na kartach *Antychrysta* dowartościowania buddyzmu kosztem chrześcijaństwa [A, 20, 21, 23 i 42]. Aczkolwiek pobłażliwość Nietzschego dla buddyzmu i filozofii indyjskiej można uznawać za zabieg heurystyczny bądź przejaw wciąż trwałego sentymentu do Schopenhauera, to fragmenty *Woli mocy* przekonują, że uprzywilejowanie buddyzmu ma służyć czemuś więcej niż deprecjacji chrześcijaństwa.⁴ Nietzsche opisuje tam świat (utożsamiony z wolą mocy) jako „monstrum siły, bez początku, bez końca, stała, spiżowa wielkość siły, która nie ro-

¹ Oswald Spengler, *Zmierzch Zachodu*, przeł. J. Marzęcki, Warszawa 2001, s. 48.

² Zob. GM, I, 15. Nietzsche wyraźnie przyjął binarną optykę Judea/Rzym, co nie pozwoliło mu dokonać równie, co u Spenglera radykalnego rozgraniczenia Ateny/Rzym. Por. także A, 4 i 61.

³ Oswald Spengler, *Zmierzch Zachodu*, op. cit., s. 35. Zob. także s. 43.

⁴ Choć rzeczywiście w *Antychryście* Nietzsche proponuje antytetyczne traktowanie nie tylko buddyzmu i chrześcijaństwa, ale także oskarża chrześcijaństwo o bycie zaprzeczeniem Grecji, Rzymu i Islamu [A, 58-60].

śnie, nie maleje, która się nie zużywa, lecz tylko przemienia, jako całość niezmiennie wielka, gospodarstwo bez wydatków i strat, ale też bez przyrostu, bez przychodu, opasane »nicością« jako swą granicą, nic, co by się rozplętało, nic roztrwonionego, nic nieskończenie rozciągniętego, lecz określona siła przydana określonej przestrzeni, i to nie przestrzeni, która byłaby gdzieś »pusta«, raczej jako siła wszędzie, jako gra sił i fal sił, zarazem jedno i »wiele«, tu się spiętrzające, tam zarazem malejące, morze w sobie wzbudzonych i wzbierających sił, wiecznie zmiennych, wiecznie się cofających, o monstualnych latach powrotu, z odpływem i przyptywem swych postaci, przechodzące od najprostszych z nich do najbardziej złożonych, z największego spokoju, zastygnięcia, chłodu w największy żar, największą dzikość, największe sobie-samemu-przeczenie, a potem znów powrót z pełni do prostoty, od gry sprzeczności do rozkoszy współbrzmienia, afirmując jeszcze siebie w tej tożsamości dróg i lat, błogosławiąc siebie jako coś, co musi wiecznie powracać, jako stawanie się, które nie zna nasycenia, przesytu, znużenia – ten mój d i o n i z y j s k i świat wiecznego samo-stwarzania-się, wiecznej autodestrukcji, ten świat tajemny dwoistych rozkoszy” [PPII, s. 189-190]. Czy w tym świecie jest w ogóle miejsce dla autonomicznej jednostki? Czy jest to świat bezwzględnej afirmacji, czy bezwzględnego rozpadu?

7.

Dla tak sprzecznych dążeń nie można znaleźć żadnej wyższej syntezy, żadnej *Aufhebung*. Nietzscheńska afazja zdaje się być nie tyle paradoksalna (milknie ktoś, kto miał najwięcej do powiedzenia), co raczej bezwzględnie logiczna, biorąc pod uwagę narastające napięcie między Nietzscheńskimi projektami. *Antychryst* jest dziełem o tyle istotnym, że może świadczyć o postępującym rozkładzie osobowości pisarza: charakterystyczna dla Nietzschego aforystyczna forma spaja się tu z wściekłym, napastliwym, emfatycznym językiem, a jednocześnie nie sposób nie zauważyć, że jest to praca przemyślana, dojrzała, wręcz systematyczna. I choćby miała być tylko pierwszą częścią anonsowanego przez Zaratustrę monumentalnego projektu, pozostaje ostatnim słowem filozofa, jego ostatnią uporządkowaną formalnie wypowiedzią. Nietzsche przykładał do tego tekstu wielką wagę. 26 XI 1888 tak pisał do Paula Deussena: „muszę z Tobą pomówić o sprawie pierwszorzędnej wagi. Moje życie pnie się teraz na wyżyny: jeszcze parę lat i Ziemia zadrży od potężnego pioruna. Przysięgam, że mam dość siły, by odmienić r a c h u b ę czasu. Wszystko, co dziś stoi, upadnie, jestem raczej dynamitem niż człowiekiem. Moje p r z e w a r t o ś c i o - w a n i e wszelkich wartości, o głównym tytule *Antychryst*, jest gotowe” [L, s. 382]. *Antychrysta* ukończył Nietzsche najprawdopodobniej 30 września 1888 roku, skoro od tej daty, towarzyszącej niezwyklej anatemie chrześcijaństwa, filozof postuluje nową epokę ludzkości.¹ Już po zwycięskim ataku choroby tekst odnalazł

¹ Niniejszy przekład, idąc za pierwszym niemieckim wydaniem, ową „Ustawę przeciwko chrześcijaństwu” pomija (zob. F. Nietzsche, *Antychryścjanin*, przeł. G. Sowiński, Kraków 1999, s. 113 oraz Z. Kuderowicz, „Przedmowa do polskiego wydania *Antychryścjanina*”, [w:] *ibid.*, ss. 7-12).

w turyńskim pokoju hotelowym Nietzschego jego przyjaciel, Franz Overbeck, a w sześć lat później, staraniem siostry Nietzschego, Elżbiety Förster-Nietzsche i archiwisty Fritza Koegela tekst ukazał się drukiem, z błędnym (bo mającym dotyczyć całości projektu, którego *Antychryst* jest jedynie częścią) podtytułem „Przemiana wszystkich wartości”. Łatwo odczuć grozę bezwzględnej logiki potępienia. Od ukończenia *Antychrysta* – a więc od momentu, kiedy destrukcyjne pióro Nietzschego sięgnęło fundamentu wszelkich wartości – nie minęły jeszcze cztery miesiące, kiedy 3 stycznia 1889 Nietzsche traci nagle przytomność, usiłując powstrzymać dorożkarza smagającego biczem konia. Po odzyskaniu przytomności, nie jest już w stanie oddzielić siebie od swoich projektów. Jeszcze w *Ecce homo* akcentuje opozycję, którą możemy uznać za osiową także dla *Antychrysta*: Dionizos przeciw Ukrzyżowanemu [EH, s. 125]. W kompilacji nazwanej *Wola mocy* czytamy z kolei: „Dionizos przeciw »Ukrzyżowanemu«: oto macie przeciwieństwo [...]. Człowiek tragiczny przytakuje nawet najtwardszemu życiu: dość jest do tego silny, całkowity, przebóstwiający; chrześcijanin neguje nawet najszczęśliwszy los na ziemi: dość jest słaby, ubogi, wydziedziczony, żeby w każdej formie życia cierpieć jeszcze... Bóg na krzyżu jest przekleństwem rzuconym na życie, wskazówką, iż należy się zeń wyzwolić – pokrajany na części Dionizos jest obietnicą życia; wiecznie będzie rodzić się na nowo i powracać z rozbicia” [WM, s. 536]. Jednak bezpośrednio przed atakiem i zaraz po nim, w pierwszej dekadzie stycznia 1889 roku, Nietzsche podpisuje swoje listy na przemian „Dionizos” i „Ukrzyżowany”, jakby akcentując pozornie opozycję wobec sił, które nim teraz targają. Bo rzeczywiście, Nietzsche, nim zamilknie na zawsze, przyjmie jeszcze najważniejsze imiona historii:

„To przesąd, że jestem człowiekiem. Żyłem jednak sporo pośród ludzi i znam wszystko, co ludzie przeżyć mogą, od rzeczy najniższych po najwyższe. Wśród Hindusów byłem Buddą, w Grecji Dionizosem, Aleksander i Cezar to moje wcielenia, autor Szekspira, lord Bacon, także. Na końcu byłem jeszcze Wolterem i Napoleonem, może też Richardem Wagnerem... Tym razem jednak przychodzę jako zwycięski Dionizos, który chce na ziemi uczynić święto... Nie mam zbyt wiele czasu... Niebiosa cieszą się, że tu jestem... Wisiałem też na krzyżu...” [L, s. 391-2].

8.

Turyńska euforia znosi wszelkie projekty Nietzschego-metafizyka i Nietzschego-mistyka, znosi samą postać Nietzschego. Świat, w którym zinterioryzujemy śmierć Boga, *staje się* światem końca „zasady tożsamości, na której wspiera się nie tylko nauka i moralność, ale wszelkie wyływające z nich zachowanie, a więc wszelka komunikacja – począwszy od rozróżnienia między rzeczywistością a niereczywistym”.¹

Tomasz Sieczkowski

¹ Pierre Klossowski, *Nietzsche i błędne koło*, op. cit., ss. 278-9.

Spis treści

Przedmowa	5
Antychryst	7
Posłowie	
Bezwzględny wymóg rozpadu. Nietzsche	67

W serii *Wielkie dzieła filozoficzne*
dotychczas ukazały się:

Kartezjusz *Rozprawa o metodzie*

Monteskiusz *O duchu praw*

F. Nietzsche *Ecce homo*

Ludzkie, arcyłudzkie

Narodziny tragedii

Wędrowiec i jego cień

B. Pascal *Myśli*

Seneka *Myśli*

W serii *Wielkie dzieła filozoficzne*
wkrótce ukaza się:

F. Nietzsche *Niewczesne rozważania*
Wiedza radosna
Z genealogii moralności

M. Montaigne *Próby*

J.J. Rousseau *Wyznania*

Wolter *Powiastrki filozoficzne*